



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Zdzisław Kazimierczak

W konflikcie marzeń z rzeczywistością

W sierpniu 1939 roku męska drużyna harcerska z Ozorkowa zorganizowała letni obóz w Giecznie koło Piątku. Ja wyjechałem z kilkudniowym opóźnieniem, nie miałem bowiem dostatecznej ilości pieniędzy. Nie pamiętam już jak to się stało, że w końcu te kilka złotych obowiązkowej opłaty zdobyłem. Zameldowałem się u komendanta obozu wyekwipowany jak zawsze w przepisowy strój, plecak, koc, finkę i inne drobiazgi. Odległość z Ozorkowa do Gieczna (ok. 12 km) pokonałem pieszo. Obóz został rozbity w lesie, niedaleko drogi Zgierz – Piątek. Namioty postawione, stół do spożywania posiłków wkopany, latryny w „pełnej gali”, kuchnia dymi. Koledzy ucieszyli się z mojego przybycia. Miejsce na sienniku w jednym z namiotów znalazło się bez problemów. Zaliczałem się już do doświadczonych druhów. Na poprzednich obozach zdobyłem wiele sprawności, a także kolejno najpierw krzyż harcerski normalny, a potem ze srebrną lilijką. Skończyłem 3 klasy gimnazjum ogólnokształcącego w Zgierzu. Miałem prawie 16 lat. Większość kolegów z obozu po skończeniu szkoły podstawowej nie uczyła się dalej, a niektórzy już pracowali.

Życie na obozie toczyło się beztrąsko – ogniska, śpiewy, występy artystyczne, wypadki do Piątku, warty w nocy, sport. Dopiero pod koniec pobytu powiało grozą. Zjawił się oficer WP z zadaniem przeszkolenia nas z problematyki wojskowej, w związku z rzekomą groźbą wojny z Niemcami. Po kilku pogadankach zorganizował „grę wojenną”, w czasie której, podzieleni na Niemców i Polaków – „strzelaliśmy” do siebie, uderzając kamieniem o kamień. Zdawało się nam, że huk wystrzałów był potężny, wróg przestraszył się dostatecznie i odejdzie mu chęć napadania na nas. My już jesteśmy przygotowani na wszystko.

W ostatnich dniach sierpnia zdawałem na sprawność „Trzy pióra”. Przez trzy dni byłem sam poza obozem. Aby skrócić czas postanowiłem przejść pieszo do Łowicza i z powrotem (przeszło 60 km). Nie wolno mi było z nikim rozmawiać. Straciłem na ten marsz dwa dni. Spałem w polu pod snopkami zboża. Warunki przewidziane sprawnością dotrzymałem. Wędrując wzdłuż trasy Piątek – Łowicz zobaczyłem po raz pierwszy w życiu lecącą nisko eskadrę samolotów wojskowych. Nie przeczuwałem, że za kilka dni będę oglądał inne samoloty. W drodze powrotnej cały dzień padał deszcz, zmokłem do „suchej nitki”. Spieszyłem się pod suchy namiot, do kolegów. Jakie było moje zdumienie i rozczarowanie, gdy zastałem obóz w rozszypce. Okazało się, że padający ulewny deszcz zalał namioty, trzeba je było przenosić na wyższe miejsce. Wszystkie urządzenia zniszczone, kuchnia gotowała tylko wodę. Zmokli młodszy druhowie, opatuleni kocami, suszyli odzież i mundury. Nie było wymarzonego suchego, ciepłego namiotu. Następnego dnia obóz zlikwidowaliśmy i wróciliśmy do Ozorkowa. Trzeba było

szkować się do zajęć szkolnych. Nowy rok szkolny już za kilka dni. Nie rozpoczął się jednak, bo w tym właśnie czasie wybuchła WOJNA!

Przez pierwsze dni, jako młodzież wyżej zorganizowana od innych, pełniliśmy służbę przeciwlotniczą. W pełnej gali mundurowej wraz z maską przeciwgazową, gazy i waty. W czasie ogłaszanych często alarmów lotniczych mieliśmy za zadanie (przekazane nam na uroczystym spotkaniu drużyny harcerskiej z sekretarzem Miejskiej Rady) usuwać z ulic przechodniów i gapiów. Samoloty przelatywały na dużej wysokości i na szczęście nie atakowały naszego miasta. Słyszeliśmy tylko dalekie dudnienie, jak w czasie burzy. Były to odgłosy bomb zrzuconych w Łęczycy i na dworzec kolejowy w Kutnie.

W niedzielę trzeciego dnia wojny wybraliśmy się rowerami na rekonesans. Było nas sześciu, na czele z Jurkiem Grendą, do którego przyjechał krewny – ksiądz ze Zduńskiej Woli. Podobno uciekając w pośpiechu zostawił na plebani bardzo cenne przedmioty ze złota. Mieliśmy tam dotrzeć, odzyskać je i zwrócić księdzu. Traktowaliśmy to jako ważne zadanie narodowe. Pojechaliśmy na skróty, polnymi drogami przez Grotniki, Aleksandrów, Szadek. Zadania nie wykonaliśmy i po raz pierwszy poczuliśmy grozę wojny. Zdawało się nam, że przelatujące samoloty wroga wypatrują nas i lada chwila zaatakują. Nie wiedzieliśmy jeszcze jak i czym. Słyszeliśmy tylko zbliżające się wybuchy. Nie wiedzieliśmy skąd się biorą. Dopiero gdy znaleźliśmy się na drodze Lutomiernik – Szadek włosy zjeżyły nam się na głowach. Tłumy uciekinierów zmierzające w odwrotnym do naszego kierunku, porzucone wozy, zabite konie z nogami sterczącymi do nieba! Coraz większy tłok, trudno się przedrzeć w przeciwną stronę. Wszyscy odradzają nam jazdę na zachód. Straszą, że Niemcy tuż, tuż, mordują, palą. Nie zważaliśmy na to, choć baliśmy się coraz bardziej. Dopiero zatrzymani przez patrol wojskowy i skarceni za niepotrzebną brawurę zdecydowaliśmy się na powrót. Znow na skróty, polnymi drogami, byle jak najdalej od tego, z czym spotkaliśmy się na głównych drogach.

Po południu wybrałem się sam na spacer, aby odetchnąć po silnych wrażeniach przedpołudnia. Poszedłem oczywiście na błonia za szkołę. Samoloty nie przelatywały. Nie wiem kiedy znalazłem się koło folwarku w Sokolnikach. Na ogromnym pastwisku zobaczyłem poustawiane pod drzewami samoloty wojskowe. Było to – jak się potem dowiedziałem – lotnisko polowe eskadry rozpoznawczej Armii Łódź. Stałem kilka chwil i czekałem, aby któryś z samolotów wystartował. Moje rozmyślenia zostały nagle brutalnie przerwane. Nie wiem kiedy i skąd pojawił się żołnierz w hełmie i z karabinem. Zdażał wyraźnie do mnie, a kiedy się zbliżył zaczął nerwowo krzyczeć: „Stój! Ręce do góry!”. Ja stałem dzielnie – byłem w mundurze harcerskim, więc niczego się nie bałem. Zbliżył się do mnie i zażądał dokumentów. Nic przy sobie nie miałem. To go zdenerwowało. Skierował we mnie lufę karabinu i rozkazał iść naprzód. Poszedłem, pytając po drodze dokąd mnie prowadzi. „Już ja wiem, co z takimi robić. Idziemy do dowódcy” – odpowiedział. Za chwilę stanąłem przed groźnym obliczem starszego sierżanta. Ten zaczął przesłuchanie: kto jestem, jak się nazywam, skąd, co tu robisz itd. Odpowiadałem śmiało na każde pytanie. Widocznie to przekonało pana dowódcę, bo kazał mi szybko wracać do domu i nie kręcić się niepotrzebnie wokół obiektów wojskowych, bo mogę być uznany za szpiega, a przecież Niemców mieszkało w tych okolicach bardzo dużo. Polowania na szpiegów, dających rzekomo znaki rozpoznawcze samolotom nieprzyjaciela, odbywały się od pierwszego dnia wojny.

W poniedziałek fala uciekinierów zalała i nasze miasto. Matki z małymi dziećmi, ludzie starzy i młodzi – furmankami i pieszo – wszyscy z przerażeniem w oczach, głodni, brudni. Organizowaliśmy wraz z dorosłymi punkty żywieniowe, nosiliśmy wodę dla ludzi i koni. Wszyscy spieszyli się. Nie chcieli zatrzymywać się dłużej. Byle dalej od nadciągającego wroga. Opowiadano o mrozącym krew w żyłach okrucieństwie Niemców.

Następnego dnia rano rozpoczął się i nasz exodus. Około 5 rano ojciec wrócił z nocnego dyżuru w ochotniczej straży pożarnej. Zakomunikował, że wydano rozkaz o ewakuacji urzędów państwowych i organizacji społecznych. Za godzinę samochodem cysterną wyjeżdża straż pożarna. Może zabrać ze sobą dwóch starszych synów (Heńka lat 20 i Jurka lat 19). A co ze mną? Mam zostać w domu z mamą i dwiema siostrami (Irka lat 21 i Zuzia lat 13) Nie! Ja też muszę jechać, walczyć z wrogiem. Ratuję sytuację Jurek, oświadczając, że nie pojedzie samochodem. Woli jechać na rowerze. Niedawno kupił nowy rower, z którym nie chciał się rozstawać. Zrobiło się dla mnie miejsce w samochodzie – i to jakie miejsce, w cysternie, a więc najbardziej bezpieczne, za pancernym ze stalowej blachy. Razem ze mną na to miejsce przewidziany był i Zenek Targalski (kolega w moim wieku – mieszkający obok remizy strażackiej). Ojciec i Heniek wraz z całym plutonem strażaków na zewnątrz, tak jak jeździ się do pożaru – stojąco na stopniach. Kierowca znakomity, sam pan Fibich. Dowódcą był p. Waclaw Tylman. Jego zastępcą mój ojciec. Razem było nas 17 strażaków i dwóch „poważnych” harcerzy – kibiców strażackich od urodzenia. Wyjechaliśmy wcześniej rano. Pogoda była znakomita, niebo bez chmurki. Kierunek Piątek, Łowicz, Warszawa. Do Piątku jedziemy dość szybko boczną drogą. Było całkiem pusto/Dopiero na drodze Zgierz – Piątek zrobiło się ciasno i tempo jazdy zmalało. Szum samochodów, furmanek konnych, rowerzystów i masy pieszych. Wyglądamy na zmianę z Zenkiem przez otwór do wlewania wody do cysterny (mieściła się tylko jedna głowa). Szybko minęliśmy Piątek. Miasteczko po rannym bombardowaniu było całe w ogniu. Szybko, byle dalej od ognia! O ironio – straż pożarna ucieka od

pożaru! Co to się dzieje? Za Piątkiem droga na Łowicz zapchana. Jedziemy w tempie furmanek konnych. Nagle słychać złowrogi warkot silników samolotowych, dudnienie zbliża się, słychać detonacje – wybuchają bomby. Kolumna furmanek, samochodów, pieszych rozsypuje się. Wszyscy szukają schronienia w przydrożnych krzakach, na polach, byle nie zostać na zagrożonej, bombardowanej drodze. Robi się luźniej. Korzystamy z okazji – pan Fibich dodaje gazu. Udaje się nam przejechać kilka kilometrów, ale przecież wyścigu z samolotami nie wygramy. Zatrzymujemy się na poboczu drogi, w strachu, bo nasz czerwony wóz widoczny jest jak pochodnia. Pluton wysiada a my z nim. Nie wiadomo, kiedy znajdujemy się na polu z ziemniakami. Kładziemy się w bruzdy. Wydaje nam się, że jesteśmy niewidoczni. Nadciągające z hukiem samoloty zrzucają w pobliżu naszego samochodu kilka bomb. Huk, pisk, krzyki rannych. To jest wojna? Gdzie wróg, jak z nim walczyć. Chwilowo leżymy w ziemniakach. Przeleciała jedna fala samolotów, za chwilę druga. Znowu bomby niedaleko od nas i coraz dalsze wybuchy wzdłuż drogi. Po pewnym czasie wracają. Widzimy z daleka, że obniżyły lot. Lecą nisko nad drogą. Słychać trzaski, zgrzyty, jakby ktoś grał na wielu werblach. Za chwilę są już nad nami. Teraz wiemy, co to za muzyka – wokół nas padają kule z karabinów maszynowych, ścinają łąty ziemniaczane. Leżymy bezradni, bezsilni w bruzdach i modlimy się, aby kule w nas nie trafiły. Wydało mi się wtedy, że grad kul z broni pokładowej jest groźniejszy od rzuconej na oślep bomby.

Po przelocie samolotów – cisza. I to jaka cisza! Ale nie na długo, bo za chwilę zaczynają się wyścigi, kto pierwszy zajmie dobre miejsce na drodze. Pluton zbiera się w komplecie i już mkniemy względnie szybko w kierunku Łowicza. Niedawno zrobiło się ciemno – a więc minął już pierwszy dzień naszego wojowania. Jurka na rowerze nie spotkaliśmy. Znowu – podobnie jak przez Piątek – przelatujemy przez płonący Łowicz. Jak do pożaru!

Od Łowicza droga szersza, więcej miejsca. Jedziemy na pełnym gazu. Wkrótce jesteśmy w Warszawie. Widać płonące domy. Jestem pierwszy raz w stolicy. Miasto wydaje się mi ogromne. Jedziemy w kolumnie wozów. Nikt nie kieruje ruchem, ale wiedzą, gdzie trzeba jechać. Z luku naszej cysterny niewiele widać. Wrzawa, ścisk i tłok zaczynają się na moście. Przekraczamy Wisłę. Jaka ona jest – nic nie widać. Słychać tylko tupot tysięcy nóg, zgrzyt kół wozów konnych i warkot nielicznych silników samochodowych. Od czasu do czasu nawoływania: Józek jesteś tu?! Spotkamy się w Miłosnej! Co to za Miłosna, dlaczego w Miłosnej? Po przejechaniu w żółtym tempie przez most słyszymy zdecydowane komendy wojskowe: „Jechać w kolumnach, nie zbaczać! Szybciej! Szybciej! Droga dla kolumny wojskowej!”.

Do rana przejechaliśmy kilka kilometrów za Warszawę. Na dzień zatrzymujemy się w lasach koło drogi. Dowiaduję się potem, że to Wiązowna – wieś przy drodze do Lublina. Okazuje się, że nie tylko my postanawiamy nie pokazywać się w dzień na drodze. W lesie koczują już inni, tysiące ludzi. Las piękny, przeważa sosna, pagórki i doliny, płynie leniwie strumyk z czystą wodą. Pewno były i grzyby, ale tłum je stratował. Nasza jednostka jest zorganizowana, mamy dowództwo, jesteśmy w grupie. Nie tak jak bezradni pojedynczy ludzie. Mamy samochód – ale okazuje się, że skończyła się benzyna. Ale to nie nasze zmartwienie. Nasi dowódcy na pewno coś wymyślą. Tymczasem odpoczywamy – przede wszystkim spać. W lesie względna cisza i po chwili śpimy pokotem na mchu, jak na dywanie. Po przebudzeniu czuję głód – przecież przez cały poprzedni dzień nic nie jedliśmy. Silne wrażenie, pierwsze spotkanie z nieznaną wojną, odebrały chęć do jedzenia. Kiedy my spaliśmy, inni działali. Doświadczeni druhowie, pamiętający czasy I wojny światowej, zakrzętnęli się. Pochodzili po wsi i po pewnym czasie znaleźli na drzewie zabita i rozebraną krowę. Jest i waga. Rozpoczyna się sprzedaż wołowiny. Na prowizorycznym rożnie piecze się szynka dla oddziału. W dość dużym kotle gotuje się wysmienity krupnik. Po posiłku znowu spanie. Na drodze słychać bombardowanie. Ale nas to nie obchodzi. Nie ma benzyny, więc zostajemy na noc w lesie. Podobno jutro będzie luźniej na drodze. Przewinie się fala uciekinierów z Warszawy. Mówią o apelu pułkownika Umiastowskiego o konieczności opuszczenia Warszawy i zgłaszania się do organizowanych jednostek wojskowych. Co wymyślą nasi dowódcy?

Następnego dnia w dolinie nad strumykiem inny świat. Przybyła w sposób zorganizowany, jak na pokazowych ćwiczeniach, jednostka wojskowa. Kawaleria! Takich rycerzy nie widziałem w życiu. Inne hełmy – nie okrągłe, a podłużne, z boku jakieś zawijasy. Groźnie wyglądający oficerowie, jak malowani, obładowani torbami ze skóry, na sznurach zwisają pistolety. No, ci dadzą Niemcom bobu! Samymi samolotami wojny się nie wygra. Tylko skończy się ta wysmienita pogoda dla lotnictwa – zobaczymy wtedy kto jest lepszy!

Ojciec był u dowódcy jednostki i wyczarował beczkę benzyny (oni wszystko mają). Wieczorem możemy jechać dalej. Wypoczęci, syci, wyspani ruszamy o zmroku. Na drodze tłok większy jak dwa dni temu. Ledwo wyjechaliśmy na główną drogę. Tempo żółwie. Aby oszczędzać benzynę, pluton został spieszony. Pchamy zgodnie nasz samochód – kieruje tylko pan Fibich. Tłok coraz większy, uciekinierzy wymieszani z wojskiem. Wszyscy idą jak w transie, jeden obok drugiego. Nasz wóz zajmuje dużo miejsca – robi się wokół niego coraz ciaśniej. Ja wczepiony w błotnik, pcham ile sił starczy, byle naprzód, szybciej z tego tłoku. Nagle czuję napór nie do wytrzymania. Ktoś mnie wtłacza w błachę

samochodu. Napieram i ja. Słyszę trzask łamanego drewna i głośnie przekleństwa. Ach ty, taki owaki, złamałeś mi karabin. Kto, ja?! Obok mnie zabiedzony piechur zlorzeczy z kresowym akcentem – jak on pokaże się kapralowi ze złamaną kolbą karabinu? Odbywa się to wszystko w marszu, nikt nie zatrzymuje się, tłum naciska. Jestem przestraszony – nikt nie staje w mojej obronie. Nagle myśl – błyskawica. Co ja zrobiłem! Zniszczyłem karabin! Na pewno przegramy tę głupią wojnę! Tłok coraz większy. Przeklinający żołnierz zostaje w tyle. Nasz wóz, pchany przez wypoczęty pluton, toruje sobie drogę naprzód. A przed nami piekło. Widać ogromną lunę pożaru. Mówią, że płonie Garwolin. Tam było największe bombardowanie. Wszyscy mówili, że w Garwolinie jest koncentracja cofających się jednostek wojskowych i formowanie nowych. Skąd o tym wiedzieli Niemcy?

Nagle skręcamy w boczną drogę. Odczytuję napisy – Kołbiel, Mińsk Mazowiecki 10 kilometrów. Droga pusta – niewiarygodne! Po krótkim odpoczynku i naradzie naszego sztabu ruszamy dalej. Ale już nie pieszo. Musimy z Zenkiem włączyć do środka cysterny. Śmieją się ze mnie, że tam nie spotkam następnym kandydatów do łamania im karabinów. Żarty te przyjmuję prawie z płaczem i upewniam się, że na pewno z mojej winy przegramy wojnę. Jedziemy dość szybko, zaczyna się rozwidniać. Już słychać z dala nadlatujące nad lubelską drogę samoloty. Po chwili zjawiają się trzy po naszej lewej stronie. Widzimy jak pasący krowy chłopak wymachuje rękami, jakby ich pozdrawiał. Pewno myśli, że to nasze. Z przelatującej trójki jeden nawraca i zrzuca jedną po drugiej bomby, w kierunku kiwającego rękami chłopca. Nie słychać wybuchów, bomby wpadają jakby do wody. Co to było? Znow nie rozumiem tej wojny – rzucać bomby na pastucha?!

Nie ma czasu na rozmyślanie. Wjeżdżamy do Mińska Mazowieckiego. Spokój, cisza, miasto jak wymarłe. Przejeżdżamy obok koszar wojskowych. Nikogo nie ma, na dziedzińcu dopalają się resztki słomy, papierów, desek. Wrażenie przygniatające. Robię miejsce Zenkowi, niech on na to patrzy, ja nie mogę. Wtulam się w kąt wnętrza cysterny i płaczę. Jedziemy jeszcze w dość szybkim tempie po pustej (dlaczego?) drodze i zatrzymujemy się na rynku w Kałuszynie. Od wschodu słychać dudnienie artylerii. Nieustanna kanonada. Gdzieś biją, ale jak to, na wschodzie? Dowódcy przeprowadzają rozeznanie. Dowiadujemy się, że dalej nie ma po co jechać. Niemcy nas okrążyli. Przybyli tam z Prus Wschodnich. Trzeba się cofać. Gdzie? Pada decyzja do Warszawy – będziemy z innymi bronić stolicy. Cieszę się, może zrehabilituję się za ten złamany karabin. Po kilku godzinach jesteśmy w Warszawie. Kierują nas do oddziału zawodowej straży pożarnej na ulicę Inżynierską. Wjeżdżamy przez bramę do środka – samochód do garażu – my też. Dowództwo melduje się u komendanta placówki. Mamy czekać na dyspozycje z ratusza. Kładziemy się spać w garażu. Panuje względna cisza. Od czasu do czasu słychać pojedyncze wybuchy.

W środku nocy budzimy się przerażeni. Słyszymy gwizd przelatujących nad dachem pocisków. Z minuty na minutę świst i jazgot coraz częstsze i w ślad za nimi wybuchy, gdzieś niedaleko od nas. Co to jest, przecież jest noc – samoloty nie latają. Bardziej doświadczeni wyjaśniają, że to ostrzał artyleryjski. Pewno te jednostki wroga, przed którymi uciekaliśmy z Kałuszyna, już dotarły do Warszawy. Jak to, tak szybko – nikt im w tym marszu nie przeszkadzał? A gdzie ta wspaniała kawaleria z Wiązownej. Nic nie rozumiem.

Ostrzał się zwiększa. Wydaje się, że to wszystko skierowane przeciwko nam. Ktoś poucza, że jeżeli słychać gwizdy pocisków, to nie ma niebezpieczeństwa. Jakby na potwierdzenie tego bez gwizdów i świstów pocisk trafia we frontową część budynku. Brzęk tłuczonego szkła, grzmot walących się murów. Wydaje się, że to już po nas. Za chwilę z głównego budynku wynoszą na noszach rannego oficera straży zawodowej. Zalany krwią, twarzy nie widać, jedna wielka krwawa plama – świszczący oddech, pełno krwi. Szybko odwożą go do szpitala. Przerażenie moje ogromne – a więc te bomby i pociski trafiają nie tylko w drogi i budynki – giną ludzie, bezsilni, bezradni. Nie widzą wroga, a on albo z nieba, albo gdzieś z głębi nocy wysyła śmiertcionośne ładunki i jest bezkarny.

Mówią, że Warszawa jest już teraz otoczona przez wroga ze wszystkich stron. Strażacy z zawodówki opowiadają o zatrzymaniu czołgów wroga na zachodnich przedmieściach stolicy. Ludzie i wojsko butelkami z benzyną palą czołgi wroga – a więc można skutecznie z tym niewidzialnym dotąd dla nas wrogiem walczyć.

Następnego dnia od rana ładujemy się do naszego wozu – cysterny i jedziemy do ratusza. Jest wczesny ranek. Ostrzał artyleryjski ze wschodu ustał. Dlaczego – nie wiemy. Najważniejsze, aby tylko przedostać się przez Wisłę przed nalotem samolotów. Nic nie widzę – miejsce w luku zajął Zenek. Wkrótce jesteśmy na dziedzińcu ratusza. Ruch tu duży, bez przerwy wjeżdżają i wyjeżdżają samochody strażackie, wojskowe i prywatne. Przed ratuszem wędrowniacy – maszerują żołnierze z bronią i bez, cywile z łopatami i kilofami. Wśród żołnierzy wypatrujemy znajomych czy krewnych, pytamy o nazwy jednostek, skąd idą – dokąd? Spotykamy wreszcie znajomego z Ozorkowa. Nie poznaliśmy go początkowo – w podartym mundurze, bez czapki, bez broni. Opowiada, że walczył w kompanii akademickiej. Zostali rozbici pod Górą Kalwarią. Wini za klęskę nieudolne dowództwo i rząd, który podobno uciekł z kraju i zostawił nas na pastwę Niemców. Ojciec i pan Tylman nie pozwalają z nim

rozmawiać, uważają jego wynurzenia za wrogą propagandę. Nie zgadzają się, aby pozostał z nami i wszedł w skład plutonu.

Myśleliśmy, że zostaniemy użyci z naszym samochodem do gaszenia pożarów. Na naszych oczach płonie Zamek Królewski. Wysyłano naszą cysternę kilka razy do Palmir za Warszawę. Z magazynów wojskowych przewoziliśmy żywność, broń, amunicję, umundurowanie a potem benzynę i dostarczaliśmy we wskazane miejsca do walczących oddziałów wojskowych i robotniczych batalionów obrony Warszawy. Cały czas pod ostrzałem wroga. Zginął od wrogich kul druh Kazimierz Przyczyń.

Gdzieś około 20 września ojciec został mianowany na komendanta straży pożarnej w fabryce czekolady E. Wedla. Zabiera mnie ze sobą. Wyruszamy pieszo na Pragę przez most Kierbedzia, ale to już dzień – w górze krążą samoloty, zrzucają bomby, wybuchają lecące ze wszystkich stron pociski artyleryjskie. Udaję, że się nie boję – maszeruję odważnie z ojcem. Dowiaduję się po drodze, że nominacja ojca to ważne zadanie. Dotychczasowy komendant straży u Wedla został aresztowany. Podobno był niemieckim szpiegiem. Po dotarciu do fabryki ojciec zameldował się u Komendanta Obrony Cywilnej i natychmiast objął obowiązki komendanta straży pożarnej. Zawodowi strażacy fabryki i zorganizowana z pracowników straż obywatelska pełnili swe obowiązki wzorowo. Ochrona przeciwpożarowa ogromnej fabryki to nieprosta sprawa. Dyżury przeciwpożarowe pełniono przez całą dobę. W pomieszczeniach fabrycznych wszystkie stropy były wzmocnione poukładanymi do połowy okien workami. Początkowo myślałem, że to worki z piachem, potem przekonałem się, że były to różne surowce, półfabrykaty, a więc ziarno kakaowe, orzechy włoskie i laskowe, fistaszki, mąka zmieszana z cukrem itp. Nie mieściło mi się w głowie, że w jednym miejscu można gromadzić tak duże ilości niedostępnych wspaniałości. Pełniłem wraz z innymi dyżury przeciwpożarowe. Na szczęście na fabrykę nie padały burzące bomby lotnicze, ani pociski artyleryjskie. Największe niebezpieczeństwo występowało w czasie masowych nalotów, gdy samoloty zrzucały jak grad bomby zapalające. Trzeba je było szybko unieszkodliwiać zasypując piaskiem. Dorośli, bardziej doświadczeni strażacy pełnili służbę na dachach i łopatami zrzucali spadające bomby zapalające, a reszta dyżurujących na dole, wśród nich i ja, unieszkodliwiała je, zasypując piachem.

Nie taki diabeł straszny – dobra organizacja i odwaga okazały się skuteczne na barbarzyńskie wyczyny wroga. Fabryka nie została zniszczona. Nie wiem czy to nasza zasługa czy Niemcy specjalnie ją omijali? W fabryce było dość żywności dla obrońców, a także i dla walczących na ul. Grochowskiej żołnierzy. Wszystko jednak było robione na słodko. Zupy owocowe z makaronem ze słodkiej mąki, z orzechami, a czasem nawet i z czekoladą. Nigdy dotychczas nie widziałem i nie jadłem takich dobrych rzeczy. Załoga fabryki nie mogła już tego słodkiego życia znieść. Niektórzy robili wypadki poza fabrykę i przynosili płaty mięsa końskiego, wykrojone z leżących na ulicach padłych koni. Nie wiedziałem, że konina to takie wspaniałe mięso. Przypomnieli mi się kawalerzyści i ich wspaniałe konie z Wiązownej i stanął mi przed oczyma obraz, jak bezradny ułan usiłował wyprowadzić z bramy płonącego domu oszalałego ze strachu konia.

W ostatnich dniach września, podobno po rozgromieniu przez Niemców zgrupowania wojsk polskich nad Bzurą, bombardowanie miasta z ziemi i powietrza zwiększyło się. Nieustający huk wystrzałów armatnich, bomb lotniczych i coraz częściej karabinów maszynowych. Miasto spowiły dymy i płomienie. Wydawało się, że gorzej już być nie może.

Nagle nastąpiła niebywała, złowroga cisza! Co się stało? Dlaczego nie strzelają? Nikt nie chciał dopuścić myśli, że to już koniec walki. Jak to – przecież wroga nie widać, nie wdarł się do miasta? Dlaczego cisza?! Nadlatują samoloty. Lecą nisko, wolno, nie zrzucają bomb, nie strzelają z broni pokładowej. Widzimy wyraźnie czarne krzyże na skrzydłach. Nikt do nich nie strzela – lecą jak na paradzie. Czy wojna skończona? Dla nas tak. Ojciec uważa, że jego misja u Wedla skończona. Nie chcą go puścić. Po co wracać do domu – tam przecież Niemcy. Ojciec upiera się – przecież i tu zaraz też będą. Najlepiej w domu. Żegnamy się z towarzyszami niedoli z fabryki. Chcą nas obsypać słodyczami, ale gdzie to brać? Szkoda, że nie było naszego samochodu cysterny. W rezultacie ja wziąłem do swej torby, znalezionej w lesie w Wiązownej, kilka kilo czekolady „Jedyna”.

Po przejściu przez most i milczące miasto do ratusza zastaliśmy nasz pluton szykujący się do powrotu do Ozorkowa. Ucieszyliśmy się ze szczęśliwego spotkania z Heńkiem. Czekamy na zezwolenie na wyjazd dowództwa wojsk niemieckich, otaczających Warszawę. Wreszcie wyjeżdżamy samochodem na rogatki. Wzdłuż ulicy Wolskiej tłumy ludzi, wojska. Nasz samochód ustawia się w kolumnie podobnych wozów strażackich z Łodzi i okolic. Widzę wszystko. Nie siedzę tak jak poprzednio w cysternie, bo bym się udusił oparami benzyny. Zrobiło się luźniej na zewnątrz, było nas przecież o jednego mniej.

Przed wyjazdem dostałem na ratuszu hełm strażacki dużego rozmiaru. Kazano mi go nie zdejmować, bo Niemcy nie wypuszczali jeszcze „cywilów” z Warszawy. Mój mundur harcerek był w opłakanym stanie. Kolumna samochodów strażackich stoi i stoi, nie wiadomo co z nami będzie. Wreszcie przed wieczorem słychać szum zapalanych na przodzie kolumny silników. Ruszamy! Niemcy pozwolili wracać. Podobno bali się, że na okupowanych terenach w razie pożaru nie będzie straży i sprzętu.

Rozpoczął się ostatni etap naszej wędrówki. Znów ta sama droga, ale jaka inna. W jedną i drugą stronę na motocyklach i samochodach jeżdżą Niemcy. Wreszcie ich widzimy – normalni ludzie. Kto im pomagał, że nas tak szybko pokonali. Jedziemy w kolumnie do Łowicza, tu oddzielamy się od wozów jadących dalej na Łódź – a my na stary szlak Piątek – Ozorków. Robi się ciemno. Droga pusta. Pan Fibich jedzie jak szatan, wyciągamy chyba 100 km na godzinę. W jednej miejscowości po drodze, na skrzyżowaniu dróg, próbuje nas zatrzymać Niemiec z ryngrafem na piersiach, regulujący ruchem. Pan Fibich nie zatrzymuje się, dodaje gazu i szybko przejeżdżamy obok osłupiałego Niemca, który pewno nie wie co to za czerwona zjawa z ludźmi w błyszczących hełmach. Mój chyba przestraszył go najbardziej, był duży i błyszczał jak słońce w samo południe. Już nocą wjeżdżamy do Ozorkowa, prędko do remizy. W mieście złowroga cisza. Nie wiedzieliśmy, że od zmroku obowiązywała godzina policyjna – zakaz przebywania na ulicach. Krótkie pożegnanie w remizie i każdy chyłkiem przedziera się do domu. My w trójkę – ojciec, Heniek i ja. Martwimy się po drodze, co powiemy mamie, że nie ma z nami Jurka. Co się z nim stało – nie wiemy. Mamy jednak nadzieję, że na rowerze daleko nie zajechał i może jest już w domu. Powitanie z płaczem i rozpaczą. Mama i siostry mają do nas pretensje. Po co uciekaliśmy, dlaczego wpuściliśmy Niemców, dlaczego nie obroniliśmy ich i naszego domu. Gdzie Jurek? Okazało się, że na rowerze podróżowało się w tych nienormalnych czasach szybciej od samochodu. Jurek dotarł na wschód, aż za Bug. Wrócił po kilku miesiącach, bez roweru.

Okupacja

Znów, jak dawniej, wybraliśmy się w kierunku Solcy Wielkiej, ale tym razem pieszo. Ojciec, Heniek i ja – z workami na ziemniaki i mąkę. Jest październik 1939 roku, miesiąc od bitwy o Polskę. Niemcy okupują kraj, obowiązuje godzina policyjna, nie wolno opuszczać miejsc zamieszkania. W Ozorkowie stacjonuje silny oddział wojska, zakwaterowany w szkołach Nr 1 i 2. Wojskowy komendant miasta rozkładał obwieszczenie w języku niemieckim i polskim, w którym ogłosił się panem życia i śmierci wszystkich obywateli. Ozorków na mocy dekretu Fuhrera z października 1939 roku włączony został wraz z innymi zachodnimi terenami Polski do III Rzeszy. Łódź przemianowano na Litzmannstadt, Ozorków na Brunnenstadt.

Nasza wyprawa na wieś była koniecznością. Trzeba było zaopatrzyć się w podstawowe artykuły, aby przeżyć zimę. Zaopatrzenie nie działało. Niemcy rozstrzelali masowo mieszkańców tych miejscowości, gdzie zginęło ich dużo w czasie uderzenia zaczepnego Armii Poznań i Pomorze w okolicach Łęczycy i Ozorkowa. We wsi Kowalewice rozstrzelano 26 ludzi. Spędzono ich na pole i nakazano wykopać rów. Następnie rozstrzelano ich i pogrzebano w tych rowach. We wsi Czernichów żołnierze Wehrmachtu spalili zabudowania i rozstrzelali 7 chłopów. Gdy 13 września Niemcy wkroczyli drugi raz do Piątku rozstrzelali 43 Polaków. Chłopi przestraszeni tym terrorem nie przywozili nic do miasta. Pieniądze polskie traciły wartość. Można było zaopatrzyć się w niektóre artykuły żywnościowe tylko w drodze wymiany za inne towary (papierosy, nafta, spirytus, nici itp.).

Przechodziliśmy przez wsie i pola, na których jeszcze niedawno odbywały się krwawe walki. Cały teren wyglądał jak pobojowisko: groby zabitych, spalone samochody, motocykle, armaty, rozbite jaszce, wozy konne i ciężkie karabiny maszynowe. Wszystko co nadawało się do czegoś w gospodarstwie rolnym było rozebrane i znoszone do szop i schowków. Chłopi, którzy służyli w wojsku zbierali broń i amunicję. Po zakonserwowaniu zakopywali w ziemi z myślą o tym, że na wiosnę, jak ruszy Francja, mogą się przydać. Słyszałem, jak ojciec rozmawiając ze znajomymi namawiał ich do tego. Sam zainteresował się szczególnie samochodami, a konkretnie to różnymi rurkami do paliwa z mosiądzu. Początkowo nie wiedzieliśmy po co to ojcu? W drodze powrotnej, gdy te zdobycze schowane zostały w workach z ziemniakami i mąką, ojciec wyjaśnił nam, że będzie to materiał do konstrukcji aparatów do pędzenia bimbru. Znów zagadka, a co to jest bimber? Oj, chłopcy, mówił ojciec, cierpliwości, jak wszystko się zmontuje i fabryka zacznie produkcję – wszystko się wyjaśni. No, no – będziemy fabrykantami!

Prócz zaopatrzenia w żywność trzeba by było pomyśleć i o opale na zimę. Robiliśmy wyprawy po drewno. Ścinało się, po kryjomu, olszaki znad Bzury i bagien za szkołą. Narobione zapasy z drewna na długo nie wystarczyły. Zima przyszła sroga. Spaliły się olszaki i płot ogradzający nasz ogród oraz niektóre drzewa owocowe. Ojciec zgłosił się do pracy w Ubezpieczalni Społecznej. Wymienione na marki złotówki szybko się rozplywały. Do pracy w fabryce Fejdysia poszedł Heniek. Irka próbowała zarabiać szyciem. Jurek nie wracał do domu. Nie wiedzieliśmy co się z nim stało. Czy jeszcze żyje? Wrócił niespodziewanie w połowie listopada, bez roweru, obdarty, wynędzniały. Na rowerze zajechał w czasie działań wojennych aż za Brześć n/Bugiem. Tam przeżył dramatyczne chwile wkroczenia wojsk sowieckich i rozprawy miejscowych Białorusinów i Ukraińców z Polakami. Zabrali mu rower. W ramach organizowanej wymiany z Niemcami – wrócił. Częściowo na pieszo, częściowo różnymi okazajnymi środkami lokomocji. Do powrotu namówili go starsi koledzy z Ozorkowa, którzy mówili:

wracajmy do cywilizowanej Europy. Nie wiedzieli jeszcze, jak ta cywilizacja w wykonaniu Niemców wygląda. Wkrótce zginęli prawie wszyscy w niemieckich obozach koncentracyjnych.

Heniek zaopatrzył nas w buty piłkarskie ze zlikwidowanego klubu KS Strzelec. Po odbiciu korków i przybiciu cienkiej zelówki ze skóry można było w nich chodzić. Nie nadawały się jednak na ciężką zimę. Pierwszą próbę chodzenia sprawdziliśmy z Jurkiem w czasie wyprawy do Piątku. Apteka w Piątku była zaopatrzona w lekarstwa z rejonowej apteki Ubezpieczalni Społecznej z Ozorkowa. Za dostarczenie lekarstw furmanką czy samochodem trzeba było płacić. Jurek wpadł na pomysł, że może dostarczyć te leki sankami, a weźmie przeznaczone na ten cel pieniądze. Ojciec chętnie się na to zgodził. Jak się potem dowiedziałem w paczkach z lekarstwami były dostarczone do Piątku instrukcje dla organizowania pracy podziemnej. Do towarzystwa Jurek zabrał mnie. Wyszliśmy wcześniej rano. Pogoda była wyśmienita, lekki mróz, wszystko zasypane śniegiem. Poszliśmy na przełaj, przez pola i łąki. W ciągu kilku godzin byliśmy na miejscu. Piątek zniszczony fatalnie, prawie wszystkie domy spalone. Zabudowania murowane pokryto prowizorycznymi dachami ze słomy i papy, okna pozamykane workami wypchanymi słomą. Niezniszczony dom aptekarza wyglądał jak pałac. Po oddaniu przesyłki (kilka skrzynek lekarstw), otrzymaniu pokwitowania i wypiciu na rozgrzewkę herbaty, ruszamy w drogę powrotną. Ale teraz nie idzie nam to tak sprawnie jak przedtem. Wozimy się na sankach na zmianę, ale bardzo krótko. Robi się coraz zimniej, po zejściu słońca szybko zapada zmrok. Wolimy iść i ciągnąć puste sanki. Siedzenie na nich jest niemożliwe, marzną nogi. Najpierw nie wiedzieliśmy dlaczego? Po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że przyczyną tego są nasze piłkarskie bury. W drodze do Piątku świeciło słońce, śnieg topił się częściowo, skóra na tych piłkarskich butach była bardzo cienka, szybko więc napełniały wodą. Przed wieczorem, jak mróz był coraz większy, skóra robiła się sztywna, jak kość. Ostatnie kilometry odbyliśmy biegiem, byle prędzej do domu, byle zdążyć przed godziną policyjną i jak najszybciej wyswobodzić się z lodowato zimnych i sztywnych butów. W domu nie mogliśmy ich zdjąć. Dopiero po pewnym czasie, gdy lód na skórze roztopił się, mogliśmy z ulgą wymoczyć nogi najpierw w zimnej, potem w ciepłej wodzie i tak uratowaliśmy się przed odmrożeniem. Buty piłkarskie nadawały się do chodzenia tylko latem i w suche dni.

Zima z 1939 na 1940 roku była bardzo mroźna. Wymarzły w okolicy prawie wszystkie drzewa owocowe. Nie było dostaw węgla. Wszyscy palili w domach zdobywanym różnym przemysłem drewnem. Pierwsze miesiące okupacji przeszły na złudnych oczekiwaniach, że coś się stanie. Nasi sojusznicy nie pozwolą na dłuższe okupowanie Polski. Trwały także burzliwe dyskusje, kto jest winien tak szybkiemu przegraniu wojny z Niemcami. Byli żołnierze, którzy nie poszli do niewoli, opowiadali o bohaterstwie naszych wojsk, o tragicznym zakończeniu bitwy nad Bzurą. W wielu opowiadaniach z czcią mówiono o bohaterskiej postawie generała Bortnowskiego i przepowiadano, że pod jego dowództwem wkrótce będą znów walczyć z Niemcami. Wielu twierdziło, że gdyby nie „nóż w plecy”, jaki zadały nam wojska bolszewickie, wojna by się jeszcze nie skończyła. Opowiadano o bohaterskich wyczynach poszczególnych żołnierzy. Wszyscy zgodnie wymieniali i kreowali na bohatera Stefana Michalskiego.

Podobnie jak inni wierzyłem w Polskę, w jej siłę, w Państwo, które może nie było idealne, ale nasze własne – po 123 latach niewoli. A teraz wojna odbierała wszelkie złudzenia. Żołnierze oskarżali rząd i naczelne dowództwo o wszystkie grzechy świata. Obarczali ich odpowiedzialnością za klęskę. Język, którym wypowiadali swoje poglądy, daleki był od salonowego, przeważały brutalne określenia.

Niemcy prócz patroli wojskowych, chodzących dzień i noc po mieście, nic nie organizowali. Ludność zdana była na własne zaopatrzenie w żywność i opał. Miejscowi Niemcy też jeszcze się nie zorganizowali. Wszyscy czekali na nieznaną przyszłość – co przyniesie po srożej zimie wiosna. Ludzie bardziej przedsiębiorczy jakoś sobie radzili i z trudem ten okres przeżywali. Niezaradni przymierali głodem i ginęli z przemarznięcia. Wszystkie zakłady przemysłowe stały, handlu nie było. Większość żyła jednak złudną nadzieją, że wiosną wszystko się odmieni.

Chłopcy z naszej paczki zaczęli organizować jakieś zajęcia. Zbieraliśmy się po kryjomu w mieszkaniach, w parkach lub na błoniach. Po zorientowaniu się, że Niemcy w dzień nie zatrzymują pojedynczych osób, gromadziliśmy się w grupach w bezpiecznych miejscach. Śniegu spadło bardzo dużo. Ulice, pola, ogrody pokryte były białym puchem, jak nigdy dotąd. Grupa byłych harcerzy, posiadająca narty, zorganizowana przez Przemka Leśniewskiego, zaczęła się spotykać codziennie i organizować wycieczki na nartach. Jeździliśmy bardzo chętnie za miasto, w kierunku Parzęczewa, gdzie na polach po lewej stronie drogi było kilka małych pagórków. Tam odbywały się lekcje zjazdów. Nauczyliśmy się podstawowych kroków przy wspinaniu się pod górę, a chrystianii przy zjazdach. Urządziliśmy nawet małą skocznię i próbowaliśmy skoków. Najprzyjemniejsze jednak były marszobiegi na przełaj, przez pola, lasy, sady. Często wstępowaliśmy na Strzeblew, do mojego niedoszłego szwagra Kazika Wojana, który też jeździł na nartach i czasem zabierał się z nami na wycieczki za miasto. Uważaliśmy baczenie, aby nie spotkać się w grupie z patrolami wojskowymi. Udało się nam, bo znaliśmy dobrze każdy kąt w mieście i okolicy.

Nie baliśmy się jeszcze wtedy miejscowych Niemców. Uważaliśmy ich za obywateli polskich i wydawało nam się, że są tak samo traktowani przez okupanta jak my. Wkrótce miało się okazać, że myliliśmy się bardzo w tej ocenie. Tym bardziej, że wielu spośród kolegów, współtowarzyszy tych eskapad, okazało się zdrajcami. Może nie z własnej woli, ale z winy rodziców stali się Volksdeutsche. Na przykład Witek Maniara i jego bracia, synowie naczelnika poczty, okazali się półkrwi Niemcami. Ich matka była Niemką i zmusiła całą rodzinę do podpisania Volkslisty. Witek, o czym dowiedzieliśmy się dopiero po wojnie, powołany siłą do Wehrmachtu, służył w Afrikakorps, skąd zdezerterował do Aliantów i został po wojnie we Francji. Podobnie było z Jurkiem Leśniewskim, braćmi Reich, braćmi Kurowskimi i innymi. Wyszło to wszystko na jaw dopiero w roku 1940, gdy do Ozorkowa dotarły wytyczne z Wartegau w Poznaniu o organizowaniu się miejscowej ludności niemieckiej, a szczególnie po przybyciu grupy operacyjnej Niemców z Reichu. Obsadzili oni wszystkie stanowiska w administracji, policji, w życiu gospodarczym i politycznym. Przyjechali także etatowi działacze NSDAP. Zaczęły się wtedy polowania na czarownice, najpierw na Żydów, a potem na Polaków.

Wiosna, na którą wszyscy czekali z nadzieją, przyniosła wiele nowych trosk, zmartwień, bólu. Niemcy organizowali się i robili w tych poczynaniach wrażenie, że zostaną tu na zawsze. Rozpoczęły się pierwsze aresztowania i wysiedlenia Polaków do Generalnej Guberni.

W pierwszej kolejności wysiedlano tych, którzy mieli własne ładne, samodzielnie stojące budynki mieszkalne. Pozwolono zabierać tylko niezbędne rzeczy osobiste. Ludzie musieli zostawiać dorobek całego życia. Wysiedlono burmistrza J. Kroppa z rodziną. W ich willi osiedlił się nowy burmistrz z Reichu – Aretz. Podobny los spotkał kierownika szkoły nr 1 pana Wilkowskiego, rodzinę Włodarczyków, Jeziornych, Kieszkowskich, Wągrówskich, Jarosińskich, Andrzejewskich, Ubyszów i innych.

Powyrzucano z lepszych mieszkań rodziny żydowskie, rabując ich całe mienie. Do ich mieszkań wprowadzali się najpierw Niemcy z Reichu, a za ich przykładem miejscowi Niemcy.

Wszyscy Żydzi musieli nosić na ubraniach żółte gwiazdy Dawida. Zmuszani byli codziennie do różnych prac komunalnych w mieście bez żadnej zapłaty. Wprowadzono obowiązek pracy dla wszystkich Polaków w wieku od 14 do 60 lat. Powstał słynny potem Arbeitsamt, organizujący przy pomocy policji i miejscowych Niemców łapanki mężczyzn i kobiet, wysyłanych następnie na roboty przymusowe do Niemiec. Zaczęły się pierwsze samosądy, dokonywane przez miejscowych Niemców.

Z zakładów włókienniczych wywożono samochodami ciężarowymi gotowe wyroby. Obserwowaliśmy bacznie wszystkie poczynania Niemców. Kazano nam liczyć ile tych samochodów ze zrabowanymi towarami wyjeżdża z miasta. Ja miałem dobry punkt obserwacyjny – w branie naszego domu na ul. Listopadowej. Tu był zakręt w ulicę Łęczycką pod kątem prostym, samochody musiały więc jechać wolniej, dzięki czemu łatwo było je policzyć. Pewnego dnia w czasie tej obserwacji zauważyłem, że z jednego samochodu wypadła dość duża paczka. Po zorientowaniu się, że kierowca tego nie zauważył i nikt tej paczki nie podnosił, wyskoczyłem na ulicę. Paczkę chwyciłem pod pachę i już mnie na ulicy nie ma. Zaniósłem ją szybko do domu. Mama była przerażona. Kazała mi to szybko odnieść na ulicę. Nie usłuchałem. Po rozpakowaniu okazało się, że jest to bela materiału, tzw. caju. Przydała się ta zdobycz na wymianę na żywność w naszych wyprawach na wieś.

W obawie przed wywiezieniem na roboty do Reichu, szukaliśmy pośpiesznie jakiegoś zatrudnienia. Szkoły były zamknięte i już nigdy w czasie okupacji ich nie otworzono. Całą paczką byłych harcerzy i gimnazjalistów zaangażowaliśmy się przy budowie kolejki wąskotorowej z cukrowni Leśmierz do Piątku. Pracowaliśmy tu przez całą wiosnę, lato i jesień. Najpierw, gdy budowa znajdowała się w okolicach Leśmierz, wracaliśmy codziennie do domu, a potem, kiedy miejsce pracy oddalało się od domu, nocowaliśmy we wsiach, przez które przechodziła linia budowanej kolejki. Okres ten zaliczam do najprzyjemniejszych z całego 5-letniego okresu okupacji. Byliśmy z dala od wprowadzanych przez Niemców nowych porządków w Ozorkowie. Aresztowano w tym czasie 35 mieszkańców, w tym 6 Żydów, jako zakładników. Osadzono ich w obozie w Radogoszczy. Na placu w pobliżu Bzury powieszono 8 Żydów i przez parę dni nie pozwolono ich pochować. Ukazało się obwieszczenie, w którym nakazywano Polakom oddawać ukłon każdemu umundurowanemu Niemcowi.

A w świecie wiosna 1940 roku przyniosła dalsze rozczarowania. W kwietniu Niemcy zajęli Norwegię i Danię. 10 maja rozpoczęły ofensywę na zachodzie. W ciągu dwóch miesięcy padły: Belgia, Holandia i Francja. 22 czerwca Francuzi podpisali akt kapitulacji. Anglikom udało się ewakuować przez Dunkierkę część korpusu ekspedycyjnego. W niemieckiej gazecie „Volkischerr Beobachter” pisano o tym wydarzeniu mniej więcej tak: „udała się ewakuacja z kontynentu, ale tak czy owak Anglia ledwo zipie i wystarczy głośniejszy krzyknąć, by wyleniały lew brytyjski przysiadł posłusznie na zadzie”. Władcy Niemiec upojeni kolejnymi sukcesami uwierzyli, że nikt i nic nie jest w stanie im zagrozić.

Takie wiadomości wpływały deprymująco na nasze samopoczucie. Przestaliśmy już oczekiwać na pomoc sojuszników. Jeżeli taka potęga, za jaką uważaliśmy Francję z jej koloniami, broniła się tylko o miesiąc dłużej niż my? Nie chcieli Francuzi umierać za Gdańsk w 1939 roku, nie chcieli też pewno umierać za własny kraj. USA zachowywały dalek neutralność. Coraz bardziej przychyłaliśmy się w stro-

nę poglądu, że tylko jedność ludów słowiańskich jest w stanie, tak jak pod Grunwaldem, oprzeć się potężde germańskiej.

Ale wracamy do budowy kolejki. Pogoda była wyśmienita. Dzięki protekcji Heńka Głowackiego, który był pomocnikiem kierownika budowy i pana Tyszkiewicza, pracownika dyrekcji cukrowni Leśmierz – nasza grupa została utrzymana w całości. Otrzymaliśmy zadanie – przygotowywanie terenu pod układanie torów kolejowych. Praca nasza polegała na wytyczaniu trasy, niwelacji terenu, wykopywaniu rowów odpływowych. Mędrców, teoretyków było w naszej grupie pełno, gorzej było z konkretnym wykonywaniem prac ziemnych przy pomocy łopat, kilofów, taczek. Marnie by te nasze prace wyglądały, gdyby nie udział w tej grupie kilku chłopców z okolicznych wsi. Nauczyli nas oni dość szybko, jak posługiwać się szpadlem, jak łopatą piaskówką i jak szybko i sprawnie wozić ziemię taczkami. Obliczanie nachylenia skarpy rowów szło nam bardzo składnie, ale specjalistą od wykonywania takiej skarpy był mój kuzyn z Cębic – Janek Pierzgałski, który nauczył się tego przy wykonywaniu szarwarku przed wojną, gdy kopano u nich rowy melioracyjne. Nasza trójka: Heniek, Jurek i ja, wraz z Jankiem i Zenkiem Targalskim, wyspecjalizowała się w kopaniu rowów.

Kiedy zaczęliśmy mieszkać we wsiach, gdzie przebiegała budowa, czuliśmy się jak na obozie harcerskim. Okupantów nie widzieliśmy. Od czasu do czasu teren budowy patrolowali na koniach Niemcy z Liegenschaftu Leśmierz. Po pracy organizowaliśmy różne zabawy, graliśmy w siatkówkę, trenowaliśmy skoki, podnoszenie ciężarów (np. koła od wozów kolejowych). Starsi chłopcy robili wypadki do sąsiedniego folwarku, gdzie ukrywały się przed wywiezieniem do Reichu, udając pracownice folwarczne, nasze koleżanki z Łęczycy, Leśmierza i Ozorkowa. Wieczorami śpiewaliśmy pieśni patriotyczne, a przed spaniem w stodółach, na sianie, trwały nie kończące się dyskusje na temat klęski wrześniowej, zachowania się sojuszników i wrogów, perspektyw zakończenia wojny. Razem z naszą grupą nocowali we wsiach i inni: ci co pracowali w transporcie materiałów, w układaniu torów. Na dyskusję do naszych stodół przychodził często znany w Ozorkowie komunista Borys Dylewski. Był załamany tym, że Związek Radziecki został sojusznikiem Hitlera. Nie mógł się z tym pogodzić. Uzasadniał to posunięciami taktycznymi. Twierdził, że wcześniej czy później dojdzie między nimi do wojny. Zdobycie Polski przez Niemców – mówił – to tylko przygotowanie do wojny ze Związkiem Radzieckim. Hitlerowi potrzebna jest polska ziemia, by miał gdzie postawić swoje rezerwy, magazyny, lotniska, bazy korpusów zmotoryzowanych, koleje, drogi i wszelkie środki lokomocji – by zaopatrywać przyszły front w wojnie ze Związkiem Radzieckim.

Słuchaliśmy tych wywodów z niedowierzaniem i wrogością, ale i z zadumą. Zarzucaliśmy mu, że komuniści nie chcą niepodległości Polski i godzą się na nierealne mrzonki o ogólnoswiatowej rewolucji socjalistycznej. Ci co byli na wschodzie we wrześniu 1939 roku podnosili argument złego zachowywania się w stosunku do Polaków Armii Czerwonej oraz Białorusinów i Ukraińców zamieszkujących wschodnie tereny Polski, włączone haniebnie do Związku Radzieckiego. Odpierał nasze argumenty swoim innym rozumowaniem, ale czuliśmy, że i nasze argumenty zaczynają do niego docierać. Nie wiem czy te dyskusje miały wpływ na późniejsze jego zachowanie.

Po pewnym czasie stwierdziliśmy, że dobrze by było zorganizować własne wyżywienie dla całej naszej grupy. Namówiliśmy naszą siostrę Irkę i jej koleżankę, Irkę Zasadziankę, aby zajęły się przygotowywaniem dla nas posiłków. Składaliśmy się na zakup żywności. One nam gotowały. Doszliśmy do wniosku, że niektóre artykuły możemy mieć od chłopów za darmo. Nie wiem kto wpadł na następujący „genialny” pomysł: gdy linia kolejki przechodziła przez wieś, wykopano po obu stronach torów rowy, odcinające wjazd do poszczególnych gospodarstw. Obowiązkiem budujących było zabezpieczyć te wjazdy przez ułożenie odpowiednich rur betonowych. Chłopi o tym nie wiedzieli. Wysyłaliśmy więc przed rozpoczęciem prac we wsi dwie grupy operacyjne. Jedną z łatami mierniczymi i teodolitem, wykonującą rzekomo pomiary i wytyczającą przejazdy do gospodarstw. Większe gospodarstwa z zasobniejszymi budynkami grupa ta omijała. Chłopi obserwowali te poczynania podejrzliwie. Druga grupa wdawała się z nimi w dyskusje i podpowiadała, że jeżeli przekonają odpowiednimi argumentami kierownika, w postaci jajek czy kur, to załatwią im u niego wytyczenie przejazdu. Pomysł chwycił i w każdej wsi kilku gospodarzy musiało ten haracz płacić.

Ostatni okres pracy, późną jesienią, nie był już tak przyjemny. Zaczęły się deszcze i chłody. Co delikatniejsi zaczęli chorować. Zdziśkowi Myszkowskiemu zrobił się na karku ogromny czyrak. Poszedł do domu i po tygodniu zmarł. Byliśmy przerażeni, tym bardziej, że był to syn aptekarza i nie dało się go uratować. Po pewnym czasie grupa się rozpadła i do Piątku, dokąd mieliśmy zbudować kolejkę, nie doszliśmy. Większość wróciła do domów. Nawiązaliśmy jednak kontakty z pracownikami cukrowni Leśmierz i znów dzięki pomocy pana Tyszkiewicza dostaliśmy pracę na cały okres kampanii cukrowniczej, a więc do lutego następnego roku. Praca w cukrowni była przyjemna. Ja pracowałem na tzw. wyparkach. Miałem za zadanie pilnować, aby zawsze w urządzeniu była odpowiednia ilość wapna i wody. Inni pracowali przy aparaturach dyfuzyjnych czy wirówkach. Najgorsze było tylko dojście do cukrowni i powrót. Pracowało się na trzy zmiany. Wychodzenie do i przychodzenie z pracy wypadało

w różnych porach dnia i nocy. Droga wzdłuż Bzury (7 km) była późną jesienią uciążliwa, błotnista, a zimą zasypana śniegiem, przez który czasem trudno było się przebić. Jakoś to przeżyliśmy.

Jakiegolwiek zajęcie było dobrodziejstwem – głównie dlatego, że odciążało myśli od okropności, które coraz częściej dawały o sobie znać. Niemcy wzmagali terror wraz z umacnianiem się ich władzy na okupowanych terenach. Pierwsza padła jego ofiarą ludność żydowska. Grabieże jej mienia w mieszkaniach były na porządku dziennym. Żydom wolno się było poruszać tylko środkiem jezdni, idących chodnikiem hitlerowcy bestialsko bili. W roku 1941 zorganizowali getto. Spędzili wszystkich Żydów do domów przy ulicach Kościelna i Berka Joselewicza. Żyli tam stłoczeni w urągających warunkach. Słabsi i starsi umierali masowo. Pozostających przy życiu przewieziono w 1943 roku do getta w Łodzi.

Po zakończeniu kampanii cukrowniczej w Leśmierzu znów byliśmy bez pracy. Każdy na własną rękę szukał jakiegos zajęcia. Część naszych kolegów zatrudniło się w firmie budowlanej Aretz – Roch und Tiefbau. Było to przedsiębiorstwo budowlane prowadzone przez brata burmistrza miasta. Mój brat Heniek zaczął pracować w fabryce Vogla w charakterze robotnika obsługującego urządzenia szarpami. Jurek zajął się przemytem różnych towarów do Generalnej Guberni i z powrotem. Ja znalazłem pracę najpierw w sklepie z artykułami kolonialnymi w rynku, gdzie po p. Kieszkowskich, których wysiedlono do GG, właścicielami zostali Niemcy z Wołynia. Pracowałem jako sprzedawca. Po kilku miesiącach zaangażowałem się w firmie budowlanej Walc. Należała ona do szwagra burmistrza Aretza. Dwie duże firmy budowlane miały zapewnione zajęcie. Krewny burmistrza zlecał mi wykonanie rozwiniętych na szeroką skalę robót komunalnych. Robotnikami w tych firmach byli – za darmo – Żydzi i za groszowy zarobek Polacy. Ja spełniałem rolę gońca i tłumacza. Po kilku miesiącach wziął mnie do pracy w Miejskim Biurze Budowlanym Baumeister Vogt. Zawdzięczałem to wyróżnienie temu, iż służącą jego żony była moja siostra Irkę. Vogt był ciekawym Niemcem – nie należał do NSDAP, katolik, z oburzeniem patrzył na wyczyny swoich współziomków maltretujących ludność żydowską.

Ojciec mój został zwolniony z pracy w Ubezpieczalni Społecznej. Zatrudnił się jako ogrodnik w Zieleni Miejskiej. Uruchomił w domu, tak jak obiecał w czasie pierwszej wyprawy na wieś, bimbrownię. „Fabryka” była bardzo prymitywna. Zwyczajny kocioł do gotowania uzbrojony w chłodnice, zrobione z rurek mosiężnych. Wyprodukowaną wódkę sprzedawał znajomym. Stanowiła ona również towar wymiany w wyprawach na wieś. Część produkcji zabierał Jurek na handel do GG. Wyprawy te skończyły się dla niego fatalnie. Został przyłapany na granicy i osadzony w więzieniu w Łowiczu, gdzie przesiedział pół roku. Uciekł z transportu więźniów wywożonych na roboty przymusowe do Niemiec. Od tego czasu ukrywał się.

W kwietniu 1941 roku Niemcy zdobyli Jugosławię i Grecję. Prawie cała Europa była już w ich rękach. W maju 1941 roku przez Ozorków i inne okoliczne miejscowości przechodziły i przejeżdżały kolumny wojskowe zdążające na wschód. Pojawiła się więc jeszcze jedna nadzieja – może wreszcie ktoś skutecznie przeciwstawi się, rozpasanej sukcesami w całej Europie, hitlerowskiej bestii. Patrzyliśmy i ocenialiśmy według naszych możliwości siłę i sprawność przejeżdżających wojsk. Obok szybko mknących kolumn zmotoryzowanych, w których przeważały motocykle, samochody-amfibie i lekkie czołgi, człapały oddziały piechoty. Obładowani różnym sprzętem żołnierze robili wrażenie zmęczonych i wyczerpanych intensywnym marszem. Widok ten był dla nas pociechą, że ta niezwykła dotąd armada ma i słabe strony. Pocięliśmy się, że uderzenie na Związek Radziecki to nie to samo, co wojna w Europie. Przywoływaliśmy w pamięci, co się stało z taką samą – zwycięską w Europie – armią Napoleona. Wszyscy mieli nadzieję, że zima na wschodzie da się odpowiednio we znaki „panom świata”.

Wojna ze Związkiem Radzieckim jeszcze się nie zaczęła, ale wszyscy liczyli, że stanie się to lada dzień. Puszczoną w ruch machinę wojenną trudno zatrzymać. Przybyło samolotów na lotnisku w Leźnicy Wielkiej. Przypomniały się nam wywody Borysa Dylewskiego z ubiegłego roku. A jednak miał rację, że musi dojść do wojny między dotychczasowymi „sojuznikami” (na niby). Uzasadniając kolejne napady Niemiec na wolne państwa, Hitler mówił: „Zwycięscy nikt nie pyta czy mówił prawdę czy też nie. Gdy się przystępuje do wojny, gdy się ją potem prowadzi, chodzi nie o prawdę, lecz o zwycięstwo”. Niemcy rozpętali propagandę o łamaniu przez Sowieców podpisanych traktatów, o przekroczeniu przez ich wojska linii granicznych itp.

I oto 22 czerwca 1941 roku rozpoczęła się wojna na wschodzie – wojna ostatniej dla nas nadziei. Czekaliśmy z napięciem na wiadomości z frontu. Łudziliśmy się, że równocześnie rozpocznie się lądowanie wojsk alianckich na Zachodzie. Jednak nic podobnego się nie działo. Niemcy chwalili się zwycięstwami. Hitler ogłaszał, że w ciągu najwyżej 6 tygodni Związek Radziecki rozpadnie się. Na początku wszystko na to wskazywało. Wojska niemieckie szybko posuwały się naprzód. Wydawało się, że Blitzkrieg znów się powiedzie. Ale gdy nadeszła zima i Moskwa nie została zajęta, byliśmy przekonani, że tym razem „przyszła kryśka na Matyska”. Pierwsze sygnały o tym docierały różnymi kanałami: a to w opowiadaniach urlopowanych z frontu wschodniego Volksdeutschów, a to poprzez wzmożone transporty kolejowe rannych i odmrożonych żołnierzy do szpitali, czy wreszcie zbiórkę zimowej odzieży

wśród ludności cywilnej, produkcję ubrań wojskowych podszytych skórkami z królików w zakładach szwalniczych w Ozorkowie, Zgierzu, Łodzi. Nadzieja odżyła.

Na podstawie komunikatów Oberkommando der Wehrmacht, podawanych w niemieckiej prasie, sporządziłem mapy z przebiegiem frontów i nanosiłem kolorowymi kredkami wszystkie zmiany położenia obu walczących stron. Było to pasjonujące zajęcie przez kilka lat wojny. Martwiłem się z sukcesów Niemców i przeżywałem każdy krok wstecz oddziałów Armii Czerwonej.

Moja praca w Miejskim Biurze Budowlanym polegała początkowo na wyświetlaniu sporządzanych w biurze planów budowlanych i geodezyjnych na słońcu na papier światłoczuły i utrwaleniu ich w specjalnej szafce z amoniakiem. Uczyłem się też kreślić i po pewnym czasie wykonywałem sam nieskomplikowane plany budowlane i operaty geodezyjne. Poza tym występowałem w charakterze tłumacza. Wykonawcami robót budowlanych, prac komunalnych, czy robót ziemnych byli polscy robotnicy. Ich kontakty z kierownikami i nadzorcami z Reichu odbywały się przy mojej pomocy. Początkowo miałem kłopoty z tłumaczeniem zawiłych terminów fachowych, ale po roku nauczyłem się i często musiałem występować w charakterze tłumacza między Niemcami z Reichu, a Niemcami miejscowymi, którzy mówili żargonem niemiecko – polsko – żydowskim. Tłumaczenie było zajęciem ciekawym, czasem zabawnym, ale bywało też tragicznym. Pamiętam pewnego razu wpadł do biura jeden z robotników z brygady kanalizacyjnej i żądał dopuszczenia go do Baumeistra. Sekretarka nie rozumiejąca ani słowa po polsku, wezwała mnie do pomocy. Pytam się go o co chodzi. Nie chce tego zdradzić, to sprawa tylko dla Baumeistra. Przeczuałem, że może się za tym kryć coś niedobrego. Robiłem wszystko, aby go do szefa nie dopuścić. Ale pech chciał, że Baumeister akurat wychodził ze swego pokoju – może usłyszał podniesiony głos interesanta. No i bomba wybuchła. Robotnik zaczął podniesionym głosem oskarżać swych kolegów z pracy o sabotaż, że specjalnie źle wykonują jakieś tam prace przy budowie kanału burzowego wzdłuż Alei Hitlera. Krzyczał, że on na to nie pozwoli, dosyć ma tego, że był przed wojną chronicznie bezrobotnym, teraz dzięki Niemcom ma pracę i nie chce jej przez głupich kolegów stracić. Wszystko to mówił po polsku. Zabrałem się do tłumaczenia – oczywiście zmyśliłem na poczekaniu, że przyszedł w imieniu kolegów prosić o zwiększenie ich stawek płacowych, bo za mało zarabiają, aby utrzymać rodzinę. Baumeister był zdziwiony, że Polak może się o to upominać, ale widząc jego wzburzenie i determinację – kazał przekazać mu, że to sprawdzi i postara się może temu zaradzić. Przekazałem oczywiście znów coś innego, że Baumeister się tym zajmie i wyciągnie konsekwencje. To go uspokoiło i zadowolony wyszedł z biura. Na szczęście nie było nikogo, kto mógłby tę moją malwersację tłumaczeniową zdemaskować.

Bardzo dużo czasu w pracy spędzałem poza biurem, dokonując kontroli prowadzonych prac, przekazując polecenia kierownictwa do centralnego magazynu materiałów budowlanych i technicznych, który mieścił się w elektrowni i na placu przed nią. Magazynierem był tu p. Szczepański, z którym współpraca nigdy się nie układała. Był to człowiek bardzo uczciwy, ale i bardzo bojący się wszystkiego i wszystkich. Musiałem uciekać się często do kłamstw, aby wymusić na nim wydanie różnych materiałów dla poszczególnych grup robotniczych w takich ilościach, żeby można było Niemców oszukać i zaoszczędzić coś „na lewo”.

W pierwszych latach okupacji skład Miejskiego Biura Budowlanego był dość liczny. Oprócz Baumeistra – kierownika biura, była jego sekretarka, technik budowlany, technik geodezyjny, ogrodnik miejski i organizator do wszystkiego, którym był szwagier burmistrza, społeczny pracownik miejskiej komórki NSDAP. Nic nie robił, tylko włóczył się całymi dniami po parku z fuzją polując na wrony. Pracy było wtedy bardzo dużo. Niemcy zabrali się do porządkowania miasta, tak jakby mieli tu zostać na wieki. Do poważniejszych przedsięwzięć realizowanych w tym czasie należały: zakończenie rozpoczętej przed wojną budowy Miejskiego Domu Kultury, uporządkowanie brzegów rzeki Bzury od fabryki „Na Skrzypiówce”, aż do ul. Łęczyckiej, Rzekę pogłębiono i usypano wały przeciwpowodziowe. Ze studni artezyjskiej w rynku rozprowadzono wodę na ul. Listopadową i Aleje Piłsudskiego do małych studni pomocniczych. Budowano osiedle mieszkaniowe, nową mleczarnię. Przebudowano szkoły numer 1 i 2, przystosowując je do celów wojskowych, na koszary. Przerabiano stare budynki fabryk włókienniczych na szwalnię, szyjące głównie mundury i bieliznę dla wojska. Znalazło tu zatrudnienie wielu Polaków, którzy dotychczas byli bez pracy. Modernizowano drogi i ulice. Zakładano urządzenia kanalizacyjne i wodno-ściekowe.

Był to okres sukcesów Niemiec i szykowania się przez nich na panów świata. Zajęci sprawami wojskowo-gospodarczymi, po wstępnym terrorze, odnosili się względnie przyzwoicie do Polaków na przyłączonych do III Rzeszy terenach. Nienawiść do Niemców wzrastała. Od początku okupacji powstawały organizacje podziemne. Ojciec z Heńkiem pracowali aktywnie w Związku Walki Zbrojnej. Mnie do formalnej przynależności nie dopuszczali. Byłem jednak wykorzystywany do zbierania potrzebnych w organizacji wiadomości o poczynaniach gospodarczych i organizacyjnych władz miejskich. Wykonywałem po kryjomu odbitki planu miasta i nanosiłem nowo powstające urządzenia komunalne. Byłem świadkiem, oczywiście z ukrycia, jak ojciec odbierał w naszym mieszkaniu przysięgę, na leżący na stole pistolet, od nowo werbowanych członków ZWZ. W zakładach pracy organizowano akcję

sabotażową, psuto maszyny i urządzenia, aby przez awarie wpływać na zmniejszenie wydajności pracy. Heniek wraz z innymi robotnikami spowodował pożar w fabryce Fogla. Spaliła się znaczna ilość surowca i urządzenia szarparni, a wraz z tym i jego palto zimowe.

Rok 1941 kończył się znów rozbudzonymi nadziejami, związanymi z niepowodzeniami Niemców w ofensywie zimowej pod Moskwą, wybuchem wojny Japonii z USA oraz wypowiedzeniem przez Stany Zjednoczone wojny III Rzeszy. Sami Niemcy w prasie i radio tłumaczyli, że przystąpienie USA do wojny oznacza szybsze zakończenie walk na wschodzie, ponieważ ZSRR nie otrzyma już żadnych dostaw z USA i Anglii. Powodzenie wiosennej ofensywy na południowy wschód w 1942 roku spowodowało falę zachwytu Niemców i umacniało ich wiarę w nieomylny geniusz Hitlera.

Na moich mapach z przebiegiem linii frontu następowały szybkie zmiany. Dojście do Stalingradu, wypad na Kaukaz, zdobycie Krymu. Wszystkie te sukcesy znów osłabiły naszą wiarę w klęskę Niemiec. Do tego doszło nieudane lądowanie wojsk alianckich w Normandii pod Dipe. Nastrój poprawił się dopiero po zatrzymaniu wojsk niemieckich pod Stalingradem. Czekaliśmy z utęsknieniem na zimę. Przeczuliśmy, że trudne warunki na wschodzie, wydłużenie się linii frontu, a więc i czasu dostaw zaopatrzenia materiałowego wpłynie na zahamowanie sukcesów Niemiec i umożliwi przejście do kontrofensywy ze strony Armii Czerwonej, jeżeli jej potencjał nie został ostatecznie zniszczony. Życie w okupowanym kraju, a konkretnie w Ozorkowie, płynęło wartko. Niemcy panoszyli się coraz zuchwalej. Głowę zaczęli podnosić Volksdeutsche, podjudzani przez coraz sprawniej działające władze Wartegau z Poznania. Organizowano różne spotkania, wiece, uroczystości, kierowane przez coraz liczniejszą NSDAP i jej organizację młodzieżową Hitlerjugend. W celu zastraszenia Polaków co pewien czas organizowano łapanki i wywożono ludzi na przymusowe roboty do Reichu. Od czasu do czasu przeprowadzano aresztowania i wysyłki do obozów koncentracyjnych. W Zgierzu zorganizowano masową egzekucję, w której powieszono 100. Polaków. Do oglądania tego zgoniono ludność Zgierza oraz okolicznych miast i wsi.

Na jesieni aresztowano mego ojca, wraz z kilku innymi jego współpracownikami z ZWZ. Osadzono ich początkowo w więzieniu w Radogoszczy pod Łodzią, a po pewnym czasie wysłano do obozu koncentracyjnego Mauthausen. W domu pozostała mama, Zuzia, Heniek i ja. Ojciec w obozie, Irka na robotach przymusowych w Reichu, Jurek ukrywał się (mieszkał u znajomych lub u rodziny w Łodzi i Ozorkowie). Wszyscy byliśmy zabiegani, aby zdobywać środki do życia. Zarobki były bardzo niskie, starczyły tylko na wykupienie żywności przyznawanej na kartki. Utrzymać się bardzo trudno. Wyszukiwaliśmy więc różne rzeczy, które wtedy wydawały się zbędne i zamienialiśmy je na artykuły żywnościowe. Mama, jak zwykle, zarabiała na gotowaniu obiadów domowych. Przychodził na nie doktor medycyny wysiedlony z Poznania, pracownik Banku Spółdzielczego, przemianowanego na Genossenschaftsbank, pracownik mleczarni i inni. Ja zatrudniony byłem nadal w Miejskim Biurze Budowlanym. W wolnym czasie próbowałem się uczyć. Szło mi to jednak nieskładnie. Nie miałem doświadczenia w samokształceniu, może też i samodyscypliny, a na pewno poważną przeszkodą był brak potrzebnych książek i podręczników. Powtarzałem i utrwaliałem to co przerabiałem w 3 klasach gimnazjum. Poglębiałem teoretyczną i praktyczną znajomość języka niemieckiego. Robiłem to bardzo niechętnie z nienawiści do hitlerowców. Konieczność zmuszała jednak do uczenia się tego przekłętego języka. Próbowałem dla przeciwwagi uczyć się włoskiego. Początkowo, w związku z nieznaczną znajomością łaciny, szło mi to dość sprawnie. Później jednak z braku konwersacji i z powodu niepomyślnych wydarzeń w rodzinie i w świecie, zaprzestałem nauki tego bądź co bądź faszystowskiego języka. Powtarzałem za to podstawowe wiadomości z algebry, geometrii, fizyki i chemii. Przez kilka miesięcy zaczytywałem się w dziełach greckich filozofów. Pamiętam, że szczególnie przypadła mi do gustu szkoła platońska. Z lektur podobały mi się w tym czasie opowiadania Sinclera: Nafta, Węgiel, Cement; Szolochowa – Zaorany Ugór, Cichy Don. Zaopatrywałem się w nie w bibliotece księdza proboszcza. Książki te Niemcy wyrzucili z zajętej plebanii do kościoła. Kościół został zamieniony w magazyn materiałów budowlanych. Trzymano tu głównie sprowadzane z Reichu stalowe i żeliwne rury kanalizacyjne, cement, wapno i inne. Chodziłem często do tego „magazynu” i po kryjomu wynosiłem książki, które zresztą po wojnie zwróciłem na plebanie.

Zima 1942 roku tak jak poprzednia obfitowała w opady śniegu. Na nartach już nie jeździłem. Coraz prężniej działająca organizacja Hitlerjugend dała się i nam we znaki. Po różnych hecach z Żydami, wzięli się i za nas. W sposób zorganizowany chodzili po domach i zabierali sanki, narty, łyżwy. Byli wśród nich niedawni nasi koledzy czy znajomi. Wiedzieli dokładnie co kto ma. Nie pomogło żadne ukrywanie, przychodzili z gotowymi spisami i zabierali, jak swoje. Ciężko się było rozstać, szczególnie z nartami własnoręcznie zrobionymi, na których spędzało się wolny czas w dwie poprzednie zimy. Te straty nagradzane były pomyślniejszymi wieściami z frontu wschodniego.

Na moich mapach od 6 miesięcy nie notowałem istotnych zmian. A jednak wydawało się, że szala zwycięstwa w wielkiej stalingradzkiej bitwie, toczącej się od tygodni, przechyliła się na stronę radziecką. Doborowe wojska hitlerowskie zostały okrążone. W lutym 1943 roku VI Armia Paulusa, mianowanego w ostatnich dniach bitwy Feldmarszałkiem, skapitulowała. Radzieckie siły zbrojne

odnosiły wielkie zwycięstwo. W bitwie nad Wołgą rozgromiły 5 armii nieprzyjaciela, w tym dwie niemieckie, dwie rumuńskie i jedną włoską. Straty te mocno osłabiły III Rzeszę i jej sojuszników. Wehrmacht nie odzyskał już nigdy swej dawnej zdolności bojowej. Armia radziecka odebrała wrogom inicjatywę strategiczną i przeszła do natarcia na szerokim froncie – od Leningradu po góry Kaukazu. Do końca marca, po zadaniu Niemcom nowych klęsk, Rosjanie posunęli się na południowym odcinku o przeszło 700 kilometrów. Przełamana została blokada Leningradu. Rozpoczął się masowy odwrót Niemców.

Wydawało się nam, że wyzwolenie jest blisko, tuż, tuż! Jeżeli jeszcze zostanie uruchomiony 2 front na Zachodzie, to klęska „1000-letniej Rzeszy” jest przesądzona. Wydarzeń znad Wołgi nie można było ukryć. W Niemczech ogłoszono 3-dniową żałobę. Prasa podawała te wiadomości pod tytułami mobilizującymi do patriotycznych czynów: „Sie starben, damit Deutschland lebe” (umarli by mogli żyć Niemcy) lub „Stalingrad ruft zum Tat” (Stalingrad wzywa do czynu). Gorycz klęski starano się złagodzić wychwalaniem bohaterów Armii Paulusa i zapewnieniami, że ofiara 330-tysięcznej armii nie była daremna. Goebbels zapowiedział, że III Rzesza przeprowadzi totalną mobilizację i rozszerzy ją na swych sojuszników. Mówił o ciężkiej sytuacji na froncie wschodnim i o tym, że nie doceniono potencjału wojennego ZSRR. Nawoływał równocześnie do napięcia sił, do nowych wyrzeczeń i ofiar w celu przeprowadzenia totalnej mobilizacji. Propaganda hitlerowska zmieniła ton. Wsuwano tezę o zagrożeniu bolszewizmem. Prasa rozpisywała się o konieczności obrony kultury europejskiej i ludzkości. Przeszto mówić o nowym niemieckim porządku w Europie. Hasło „lebensraum” ustąpiło miejsca hasłu „Festung Europa”. „Tylko niemiecki Wehrmacht może uratować Europę przed Sowietami” – pisał „Volkischer Beobachter”. Europa nie ma wyboru między Anglo-Amerykanami a Niemcami, lecz jedynie między Niemcami a bolszewizmem.

Dla zniszczenia montowanego na wschodzie sojuszu państw słowiańskich propaganda hitlerowska wykorzystwała tragiczny los, jaki spotkał polskich oficerów zamordowanych w Katyniu. Pisano o odkryciu grobów w prasie, krzyczano przez radio. Organizowano spotkania ludności polskiej z rzekomymi świadkami tej zbrodni. Spotkanie takie odbyło się też i w Ozorkowie. Spędzono ludność do Domu Kultury. Wystąpił ubrany w mundur polski „człowieczek”, mówiący łamaną polszczyzną. Opowiadał jakimi mordercami są Sowietci i co nam grozi, jeżeli nie będziemy współpracować z jedynym obrońcą ludzkości – III Rzeszą. Nikt w te wynurzenia nie wierzył. Byliśmy oburzeni, jak mordercy milionów Polaków mają czelność mówić o ludzkości.

Rozpoczął się masowy pobór Niemców do wojska. Podlegali mu wszyscy mężczyźni od 16 do 65 roku życia. Wprowadzono powszechny obowiązek pracy dla kobiet od 17 do 45 lat. Na miejsce powoływanych do wojska niemieckich robotników i pracowników przemysłu zbrojeniowego, zatrudniano kobiety i robotników z krajów okupowanych i jeńców. Wieści o klęsce hitlerowców pod Stalingradem stały się zwiastunem nadziei i sygnałem do intensywnej walki we wszystkich okupowanych krajach Europy. Wzmogły się akty sabotażu w zakładach pracy, w transporcie, w każdej dziedzinie życia. Nasiliły swoją działalność oddziały partyzanckie. W odpowiedzi na tę działalność hitlerowcy zaostrzyli represje. W Ozorkowie 17 marca 1943 roku aresztowali ok. 60 osób. Wśród nich także mego brata Heńka. Przyszli po niego ok. godz. 15-tej. Do mieszkania wpadło 3 gestapowców z naganami. Heńka nie było w domu. Przetrasnęli całe mieszkanie i wyszli. Pech chciał, że Heniek nic o tym nie wiedząc, wracał z miasta do domu. Spotkali go w bramie i aresztowali. Skutego w kajdanki zaprowadzili do miejscowego aresztu i potem razem z innymi wywieźli samochodami do więzienia gestapo w Łodzi. Nic o tym nie wiedzieliśmy. Po kilku chwilach od wyjścia gestapowców wybiegłem, aby odnaleźć Heńka i uprzedzić go o grożącym mu niebezpieczeństwie. Biegałem po mieście jak opętany. Nigdzie go nie znalazłem. Na koniec ktoś mi powiedział, że może jest u swojej dziewczyny, Irki Jurkiewicz. Pobiegłem tam – był przed godziną u nich i poszedł do domu. Wreszcie po bezskutecznych poszukiwaniach wróciłem zrozpaczony do domu. Tu już mama i Zuzia płaczą, bo dowiedziały się od sąsiadów, że widzieli jak Heńka w bramie złapali. Po kilku tygodniach dowiedzieliśmy się, że został wysłany wraz z innymi do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Po dwóch miesiącach zostałem wezwany do miejscowej komórki gestapo. Wręczono mi zawiadomienie z Oświęcimia, że Heniek zmarł – rzekomo na zapalenie płuc. Wyszedłem z tym świstkiem papieru, ze zwiastunem tak strasznej wiadomości, na ulicę i skierowałem swe kroki do domu. Jak o tym powiadomić mamę? Zamiast do domu, poszedłem wzdłuż Bzury, w kierunku na Gębice, w pole, z daleka od wszystkich ludzi, od miasta. W głowie kłębiły się straszne myśli. Jak to jest, dlaczego trzeba w tak młodym wieku umierać. Podnosiłem zapłakane oczy do nieba i czekałem odpowiedzi. Dlaczego bezkarnie morduje się ludzi, bez żadnego sądu, w imię jakich wartości? Dlaczego żołnierze niemieccy noszą na pasach napis: „Gott mit uns”. Czy rzeczywiście Boże jesteś z nimi? Dlaczego pozwoliłeś aresztować księży z naszej parafii, zamienić kościół na magazyn? Dlaczego papież Pius XII błogosławił Niemców, wyruszających na podbój Europy? Dlaczego nazywany jest „II Papa Tedesco” – papież niemiecki? Czy jest to możliwe, aby Bóg był słabszy od Hitlera? Błądziłem tak po polach i płakałem, przeklinałem i przepraszałem. Dopiero przed wieczorem wróciłem do domu i uspokojony przekazałem mamie i Zuzi tę hiobową

wieść. Rozpacz była niesamowita. Dopiero wspólne modły, aby ochronić od podobnej śmierci przebywającego w obozie ojca, Irkę w Niemczech i ukrywającego się Jurka, przyniosły nam częściowe uspokojenie. Czekala mnie dalsza nieprzyjemna misja – powiadomienie o tym ojca, Irki i Jurka. Napisanie listów z taką wiadomością do tych, którzy żyli w ciągłym zagrożeniu własnego życia i wyczekiwali pociechy od bliskich z domu, było bardzo trudne. Przez dłuższy czas nie mogłem się uspokoić, a tu znikąd żadnej pociechy.

Listy od ojca przychodziły raz na 3 miesiące, więcej pisać nie było wolno. Między wierszami cenzurowanych listów dowiadaliśmy się, że w obozie jest strasznie. Wysyłaliśmy co pewien czas skromne paczki żywnościowe. Nie wiedzieliśmy, czy do ojca docierają. Irka pisała też o ciężkiej pracy, o tym że tęskni do domu i do kraju. Wiadomość o zamordowaniu w Oświęcimiu Heńka przyjęła z rozpaczą, ale w listach pocieszała mamę i nas. Donosiła o bombardowaniach lotnictwa alianckiego, o ciągłej obawie o zdrowie i życie. Z szacunkiem pisała o rodzinie Baumeistra Vogta. Odnosili się do niej inaczej niż to się powszechnie działo u innych. Byliśmy więc trochę uspokojeni. Jurek wrócił do domu i zaczął pracować jako księgowy w szwalni wojskowej „Striwa”. Nie trwało to jednak długo, bo już na początku 1944 roku znów musiał się ukrywać i wyjechał do Generalnej Guberni. Zuzia pracowała też jako szwaczka w „Striwie”, do czasu, póki wraz z innymi pracownikami tej firmy nie została wysłana do budowy umocnień ziemnych wzdłuż Wisły, w rejonie Płocka. Tak więc w końcowych latach wojny w domu pozostała tylko mama ze mną. Mama, pewnie ze zmartwienia, zaczęła coraz częściej chorować. To nakładało na mnie dodatkowe obowiązki. Musiałem pracować i częściowo zajmować się gospodarstwem domowym. Robiłem zakupy, starałem się o zaopatrzenie we wszystko, co do życia było potrzebne. Utrzymywałem kontakty z ojcem, Irką, Jurkiem i Zuzią.

Latem 1944 roku naloty aliantów na Rzeszę nasiliły się. Zaczęło to docierać i do nas. Coraz częściej ogłaszano alarmy lotnicze. Z robotników budowlanych i innych pracowników komunalnych utworzono specjalne grupy robocze do usuwania ewentualnych szkód. Ja zostałem wyznaczony na łącznika między tymi grupami a kierownictwem Biura Budowlanego. Na polecenie Baumeistra wzywałem członków grup do stawienia się w magistracie. Mogło się to zdarzyć o każdej porze dnia i nocy, dostałem więc specjalną przepustkę, że nie obowiązuje mnie godzina policyjna. Na szczęście nigdy do bombardowania lotniczego Ozorkowa nie doszło, ale alarmy próbne były dość częste. Wykorzystywałem tę okazję i gdy wszyscy zdyscyplinowani Niemcy przebywali w wyznaczonych schronach, zrywałem rosnące na ścianach naszego biura winogrona i dostarczałem do domu. Wszystkie pod płaszczykiem zawiadomiania członków brygady budowlanej na alarm do „odgruzowania”. Czasu na rozrywkę czy naukę było coraz mniej. Kontakty z kolegami też były ograniczone. Spotykałem się często tylko z Heńkiem Bartzakiem, kolegą z harcerstwa i ze Zdziśkiem Adamczykiem, znajomym z gimnazjum.

Nauczyłem się grać w brydża. Raz w tygodniu chodziłem na spotkania brydżowo-towarzyskie do Hanki Łazińskiej, córki mojej wychowawczyni z przedszkola. Graliśmy we czwórkę – Hanka, Zdzisiek Adamczyk (nieoficjalny narzeczony Hanki), starszy od nas nauczyciel pan Wojas i ja. Prócz gry w brydża były to spotkania dyskusyjne o literaturze, kulturze no i oczywiście polityce.

W pracy w biurze budowlanym następowały ciągle zmiany personalne. W 1943 roku odwołano Bauera Vogta za dyskusje o odnoszeniu się jego rodaków do Żydów i Polaków (wrócił do Würzburga). Na jego miejsce przyszedł Walter Poter, inżynier budowlany z Halle. Zamieszkał wraz z rodziną w willi państwa Ubyszów, wysiedlonych do GG. Po klęsce pod Stalingradem i on został powołany do służby w organizacji Todta – wrócił dopiero pod koniec 1944 roku. Po jego odejściu kierownikami biura było kolejno kilku Niemców z Reichu. Byli to ludzie z awansu i zajmowali to stanowisko tylko z racji aktywnej działalności w NSDAP. Wśród nich znalazł się nawet były cieśla i robotnik budowlany. Pamiętam, że w niektórych okresach jedynym autorytetem w sprawach budowlanych byłem ja. Odbiło się to fatalnie na prowadzonych w tym czasie, w coraz mniejszym zresztą zakresie, pracach budowlanych. Tym bardziej, że wśród wykonawców też było coraz mniej fachowców z prawdziwego zdarzenia. Wśród murarzy największym autorytetem został Józek Barański, który przed wojną był robotnikiem magazynowym w fabryce Schossarów. Z Józkiem zaprzyjaźniłem się, mimo różnicy wieku – był o 10 lat starszy. Był to znany w Ozorkowie działacz OMTUR. Bardzo czytany i znający teorię marksistowską. W dyskusjach z nim zaznajamiałem się z tą teorią. Dostawałem od niego do czytania książki i broszury o treści socjalistycznej. Jedną z nich – „Zasady socjalizmu” Karola Kautskiego, wydanie z 1906 roku – przerobiłem od deski do deski. Partnerem do rozmów o teorii i praktyce ruchu robotniczego był też pełniący funkcję palacza w Łazni Miejskiej przedwojenny robotnik – włókniarz, członek PPS, p. Błaszczuk. Spędzałem w kotłowni wiele godzin na rozmowach o „życiu”. Z tych dyskusji i z dostępnej wtedy lektury dowiedziałem się podstawowych wiadomości o socjalizmie. Socjalizm to koncepcja ustrojowa, która: usunie wszelkie postacie i formy wyzysku i ucisku człowieka przez człowieka, zlikwiduje podział na klasy społeczne.

Socjaliści stoją na stanowisku demokracji politycznej, z równymi prawami dla wszystkich stronnictw politycznych i dla wszystkich obywateli, także dla przeciwników socjalizmu. Deklaracja celów socjalistów głosi: nie ma socjalizmu bez wolności. Socjalizm może być urzeczywistniany tylko przez

demokrację, demokracja może znaleźć swój pełny wyraz tylko w socjalizmie. Socjalizm dla Polaków winien więc spełniać dwa podstawowe warunki: musi być demokratyczny, winien być niepodległościowy, to jest stać na gruncie praw Polski do niepodległego bytu państwowego. Te podstawowe prawdy odpowiadały mi, były zgodne z tym co często głosił ojciec.

Zdzisiek Adamczyk wyjechał z firmą Aretz do Reichu. Inni koledzy i znajomi wykruszali się. Grupa młodszych harcerzy, dzieci inteligentów, trzymała się osobno. Jak się potem dowiedziałem, organizowali tajne nauczanie na poziomie szkoły średniej. Miałem żal do nich, że mnie do tego nie włączyli. Pewno przyczyną były moje kontakty z Józkiem Barańskim i innymi działaczami lewicowymi z kręgów byłej PPS. Inni koledzy z harcerstwa i ze szkoły – synowie robotników i sami już robotnicy – organizowali się w swoich kręgach. Należeli do Gwardii Ludowej, Związku Walki Młodych, a starsi do PPR. Tu mnie też nie dopuszczono, odczuwałem nawet wrogi stosunek. Przeżywano takich jak ja „sikorszczakami” (zwolennicy Sikorskiego). Kierowali się w tej ocenie nie faktycznymi poglądami, które w tym czasie były mi bliskie, a pochodzeniem z rodziny przed wojną związanej mocno z rządami sanacyjnymi. Zaczynałem odczuwać wokół siebie pustkę. Spotykaliśmy się, szczególnie latem, nad Bzurą lub w okolicznych lasach, ale oprócz rozrywek czy uprawiania gier sportowych nic już nas nie łączyło. Najdłużej stosunki koleżeńskie utrzymywałem z Heńkiem Bartzakiem, moim rówieśnikiem, wspaniałym kumplem z harcerstwa. Heniek był operatorem w kinie uruchomionym przez Niemców w Parafialnym Domu Kultury. Bardzo często chodziłem do kabiny kinooperatora, aby oglądać bezpłatnie wyświetlane filmy. Spędzałem też często rolę pomocnika. Oglądaliśmy wszystkie kroniki filmowe. Oburzyła nas pokazywana buta niemiecka. Np. powrót z nalotu na Londyn uśmiechniętych lotników, triumfujących, opowiadających jak pięknie wygląda z góry widok płonącego miasta i gejzery wybuchów zrzucanych bomb. Komentator krzyczał: „Wracają nasze orły!”. A w tej samej kronice – zdjęcia z bombardowania miast niemieckich przez aliantów, nazywanych zbrodniarzami, bo zrzucają bomby na bezbronną ludność niemiecką. Kabina kinooperatora miała osobne wejście z zewnątrz budynku. Było to wymarzone miejsce do schowania się przed Niemcami. Tu słuchaliśmy po kryjomu radia, głównie audycji nadawanych z Londynu, po polsku. Podслуchiwaliśmy o czym radzą Niemcy na organizowanych w sali kinowej „parteitagach” i innych spotkaniach publicznych. W 1944 roku Heniek ożenił się z dziewczyną, która była zatrudniona w charakterze służącej u kierowniczkii kina, Niemki z Reichu.

Robiłem z Heńkiem wyprawy rowerowe na wieś, po zaopatrzenie w artykuły żywnościowe, głównie ziemniaki. Korzystaliśmy z rowerów służbowych. Pewnego razu przytrafiła się nam nieprzyjemna przygoda. Pojechaliśmy po ziemniaki do dość odległej od Ozorkowa wsi. Gdzieś za Modlną natrafiliśmy niespodziewanie na patrol żandarmów. Po wylegitymowaniu i przepytaniu o cel naszej podróży, zarekwirowano nasze służbowe rowery. Musieliśmy wracać na pieszo, bez ziemniaków. Następnego dnia mieliśmy nieprzyjemne rozmowy w pracy. Żandarmi zdążyli zadzwonić do posterunku w Ozorkowie, a ci zawiadomili naszych szefów. Za karę odbieraliśmy te rowery z posterunku Gieczno, gdzie musieliśmy iść pieszo. Byliśmy jednak niepoprawni i kilka tygodni później wybraliśmy się znów na rowerach po ziemniaki. Tym razem do folwarku Sokolniki. Dostaliśmy wiadomość od naszego ostatniego drużynowego ZHP w Ozorkowie, Witka Walczaka, który w folwarku pracował pod innym nazwiskiem i ukrywał się. Donosił, że na polach odbywają się wykopki i na noc zostają nieprzykryte w kopcach ziemniaki. Nikt ich nie pilnuje. Trzeba je zabierać pod osłoną nocy. Ryzyko duże, bo i przekroczenie godziny policyjnej i niewiadoma czy po drodze ktoś nas nie spotka. Teren znaleźliśmy znakomicie. Wybraliśmy się o zmroku, polnymi ścieżkami. Po przybyciu na miejsce naładowaliśmy worki ziemniakami i z powrotem do domu. Zdawało nam się, że ktoś nas obserwuje i naciskaliśmy co sił na pedały. Dowiedzieliśmy się potem, że Witek obserwował nasze poczynania z ukrycia.

Przez wiele lat kochałem się w Dance Gałęzkiej. Była to jednak miłość bez wzajemności. Cierpiałem bardzo z tego powodu. Ale nie rezygnowałem. Czasem wydawało mi się, że miłość moja jest odwzajemniana. Szczególnie w okresie kiedy Danka pracowała jako ekspedientka w sklepie spożywczym przy ul. Maszkowskiej. Wracając z pracy do domu szła na skróty przez pola wzdłuż Alei Piłsudskiego i ul. Listopadowej. Tam prawie codziennie na nią czekałem. Te spacer, kończące się często całowaniem bez opamiętania, dawały mi podstawę, aby mieć nadzieję, że moja miłość nie będzie jednostronna. Były to jednak tylko złudzenia. Pod koniec okupacji Danka zmieniła pracę. Została zatrudniona jako wychowawczyni dzieci u fabrykanta Fogla. Widywałem się z nią coraz rzadziej. Aż wreszcie dowiedziałem się, że zaręczyła się. Szczęśliwym wybrankiem okazał się kolega mego brata Heńka, starszy ode mnie o 6 lat Tadek Chojak, który wrócił z robót przymusowych w Niemczech. Przeżyłem to bardzo i na złość zacząłem starać się o względy Irki B. Ja miałem wtedy 20 lat, ona chyba 15-16. Była to córka rotmistrza z Gdańska przebywającego w oflagu niemieckim. Irka z matką zostały wysiedlone z Gdańska i znalazły się w 1943 roku w Ozorkowie. Matka Irki pracowała w biurze rolnym. Pamiętam takie wydarzenie. Załatwiałem swego czasu zezwolenie na ubój gospodarczy (chowaliśmy 1 świnię w komórce) w biurze rolnym. Przyjmowała mnie bardzo życzliwa urzędniczka. Rozmawialiśmy po niemiecku. Nie wiedziałem wtedy, że jest to Polka, matka Irki. Uśmieliśmy się z tego wydarzenia, gdy Irka po pewnym czasie zaprosiła mnie do domu, aby zapoznać ze swoją mamą. Irka była na swój wiek wspaniale zbudowana,

bardzo dobrze pływała, świetnie jeździła na łyżwach. Bardzo często chodziliśmy razem na pływanie – zimą na basenie, latem nad Bzurę.

W sierpniu 1944 roku docierały do nas odgłosy walki z Warszawy. Wiedzieliśmy, że jest tam Jurek i bardzo się o niego niepokoiłiśmy. Od dłuższego czasu nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości.

Odgłosy wojny docierały do nas coraz bliżej. W budynkach, gdzie mieściło się nasze biuro, zainstalował się sztab dywizji piechoty, zajmującej stanowiska nad Wisłą. Za ogrodem państwa Wiśniewskich zorganizowano lotnisko polowe, na którym lądowały i startowały samoloty rozpoznawcze typu „Storch”. Na przedmieściach rozpoczęto kopanie rowów przeciwczołgowych. Nadzór nad tym sprawowało nasze biuro. Do robót chodzili na zmianę wszyscy zatrudnieni w różnych firmach Polacy i Niemcy. Ja prowadziłem kontrolę obecności. Wiadomo, jak ta kontrola wyglądała – pobłażliwa dla Polaków, a bezwzględna dla Niemców. Składałem codziennie raport obecności u burmistrza. Wielu Volksdeutschów znalazło się w mych meldunkach, w razie nieobecności przy kopaniu rowów. W lecie była to przyjemna wyprawa za miasto. Szczególnie, gdy kopanie odbywało się w lesie „Kozia Noga”. Pamiętam z jakim napięciem słuchaliśmy głosów artylerii i wybuchów bomb lotniczych dochodzących do nas z powstania warszawskiego.

Na moich mapach z frontu notowałem obecność wojsk radzieckich i armii polskiej. Był to już ostatni krok, front był od nas o niecałe 100 km, a jeszcze niedawno odległości te liczyło się na tysiące kilometrów. Rozpoczęło się wreszcie oczekiwane lądowanie aliantów w Europie. W maju 1944 roku Włochy zerwały z Niemcami i przeszły na stronę aliantów. Lądowanie na Sycylii i we Włoszech, a potem we Francji przesądzało o nieuniknionej klęsce Niemiec. Czekaliśmy na to ostateczne uderzenie z utęsknieniem. Zatrzymanie się frontu wschodniego na Wiśle denerwowało nas, odbierało nadzieję, że wyzwolenie tuż, tuż!

Docierały do nas skąpe wiadomości o organizowaniu życia na wyzwolonych wschodnich terenach Polski. O tworzeniu 2 Armii Wojska Polskiego. Ale także o walkach bratobójczych między oddziałami AK a nowo organizowanymi oddziałami WP. Dla mnie te wiadomości były niezrozumiałe. Dlaczego Polacy biją się między sobą? Mało było cierpień i przelanej krwi przez wrogów?! Nigdy nie podzielałem teorii „dwóch wrogów” i stania z bronią u nogi. Traktowałem to jako rozgrywki polityczne i wierzyłem, że bój o wolną Polskę to głównie walka z Niemcami hitlerowskimi. Doceniałem wkład Rosjan i ich ofiary poniesione w walce z najgorszą bestią ludzkości. Ten ostatni okres oczekiwań na wolność wydłużał się. Myśleliśmy, że jeszcze przed zimą nastąpi klęska Niemiec. Tak się nie stało.

Ofensywa na wschodzie rozpoczęła się 12 stycznia 1945 roku. Z wielką radością słuchaliśmy grzmotu armat i zaczęliśmy odliczać – już nie lata, miesiące, ale dni!

Wyzwolenie i kłopoty

Kończąca się wojna nasuwała różne refleksje. Wreszcie zaczniemy żyć jak ludzie, normalnie, chodzić do szkoły, bawić się, pracować. Często smuciliśmy się z porażek i cierpień, które musieliśmy znosić. Cieszyliśmy się, gdy Niemcy zaczęli ponosić klęski na wszystkich frontach. Marzyliśmy, aby wojna skończyła się jak najszybciej. Uważaliśmy, że wojna jest złem, gdyż niezależnie od celów niesie za sobą zniszczenie, ofiary, śmierć i cierpienie. W krótkim czasie w Europie wybuchły dwie wojny, które miały zasięg ogólnoswiatowy. Po pierwszej wszystkie narody obiecywały sobie, że już nigdy nie dopuszczą do następnej. Po 20 latach wybuchła II wojna światowa. Oznacza ona, że na świecie nic się nie zmieniło. Cywilizacja ludzka nie uporała się z problemem wojen – siła nadal zwycięża czynniki moralne i etyczne.

17 stycznia 1945 roku wyjechali z Ozorkowa: policja, sztab dywizji, stacjonujący w naszym biurze i urzędnicy magistratu. Był to dzień niepewności. Czy cofające się oddziały Wehrmachtu zatrzymają się w Ozorkowie? Kto wkroczy do miasta? Łudziliśmy się, że będą to oddziały Wojska Polskiego. Co sprytniejsi rozpoczęli grabienie pozostawionych przez Niemców dóbr doczesnych, takich jak meble, ubrania, bielizna itp. W opuszczonych w pośpiechu pomieszczeniach po sztabie dywizji piechoty znalazłem wiszący na drzwiach płaszcz wojskowy i spodnie do konnej jazdy. Zarekwirowałem tę zdobycz wojenną i w wielkim strachu przenieśliśmy do domu.

18 stycznia ulicą Marszałkowską wjechały do miasta pierwsze czołgi radzieckie. Radosnych powitań nie sposób opisać. Całe miasto wyległo w Aleje Piłsudskiego. Wiwatom i powitalnym okrzykiem nie było końca. Wojna nie była jednak jeszcze skończona. Po krótkim postoju czołgi skierowały się na drogę do Parzęczewa i Łęczycy. Jeden z nich pozostał w mieście. Wyszedł z niego oficer z pistoletem w dłoni i po wymianie powitalnych grzeczności kazał prowadzić się natychmiast na pocztę. Dziwiliśmy się temu, ale po chwili wszystko się wyjaśniło. Na poczcie interesowała go tylko centrala telefoniczna. Sprawdził jej urządzenia i postawił do pilnowania dwóch żołnierzy uzbrojonych w pistolety automatyczne. Potem kazał się zaprowadzić na jakąś porządną kwaterę. Wybraliśmy opuszczoną przez Niemców, wolnostoją-

ca wille na ulicy Listopadowej, posiadłość państwa Orpiszewskich. Tam założył swoją kwaterę, ogłaszając się wojennym komendantem miasta.

W pomieszczeniach byłej siedziby policji w Alejach Piłsudskiego zebrał się zorganizowany ad hoc Komitet Obywatelski w składzie: Bolesław Geraga, Giziński /PPR/, Franciszek Brodowicz, Franciszek Łuczak /PPS/, Jakub Dudczak, Józef Barański i inni. W skład Komitetu wszedłem i ja. Próbowaliśmy uzgodnić, w jaki sposób zorganizować cywilne władze miasta, co w najbliższym czasie zrobić. Niektórzy członkowie zaproponowali, aby zniszczyć wszystkie dokumenty magistratu. Przeciwstawiłem się temu i w dłuższym wystąpieniu uzasadniłem, dlaczego nie należy tak postąpić. Dokumenty w magistracie mają znaczenie przy organizowaniu życia w mieście. Zwłaszcza akta stanu cywilnego, albo podkłady geodezyjne, zaświadczenia o własności. Poparli mnie w tym pan Dudczak i pan Brodowicz. Zgodzono się, że te dokumenty należy w pierwszej kolejności zabezpieczyć przed ewentualnym zniszczeniem. Powołano tymczasowe kierownictwo Milicji Obywatelskiej. Przewodniczącym Komitetu wybrany został pan Bolesław Geraga, znany działacz komunistyczny sprzed wojny oraz organizator PPR i Gwardii Ludowej w Ozorkowie i powiecie łęczyckim.

Cieszyliśmy się z odzyskanej wolności. Z następnym zagonem pancernym na jednym z czołgów przyjechał Jurek. Zrobił nam miłą niespodziankę, bo nic o nim nie wiedzieliśmy. Okazało się, że był w Warszawie. Na samym początku powstania został ranny w nogę, uciekł szczęśliwie do Radomia i tam kurował się u wujka Kwiatkowskiego.

Przez kilka dni toczył się przez Ozorków walec wojny. Bez przerwy, dzień i noc, ciągnęły na zachód wojska Armii Czerwonej. Samochody, czołgi, motocykle, furmanki konne, sanie, niezliczona liczba żołnierzy pieszo. Wydawało się, że to rzeka wylała i niesie w swoich nurtach wszystko, co jej się udało po drodze oderwać od brzegów. W tym żywiole był jednak jakiś porządek. Wszyscy zgodnie oświadczyli, że idą na Berlin, dobic bestię faszystowską w jej legowiskach. A gdzie ten Berlin – to już nie sprawa pojedynczego żołnierza, o utrzymaniu właściwego kierunku decydują dowódcy. Obok dotychczas istniejących drogowskazów pojawiło wiele tabliczek z drewna, dykty, papy z napisami „gospodarstwo Czukina”, „gospodarstwo Bałabana” itp. Podobnie jak w porwanym przez rzekę nurcie, tak i w tej masie sprzętu i ludzi płynęło również gówno. Byli to pojedynczy żołnierze, rabujący wszystko co się dało unieść. Głównie jednak poszukiwali oni czegoś do jedzenia i oczywiście wódki. Nie gardzili i denaturatem. Skutki tego były potem widoczne w postaci zamarzniętych zwłok ludzkich. Po kilku dniach fala ta przeszła i miasto wróciło do normalnego życia – jeżeli wtedy w ogóle coś można było nazwać normalnym.

Józek Barański zaczął organizować koło OMTUR. Na siedzibę zajął stary, drewniany pałac przy ulicy Listopadowej. Pomagałem mu w tym. Wkrótce mieliśmy dość dużo członków. Jak przystało na pierwsze chwile wolności, nie było końca organizowanym zabawom, wiecom. Wraz ze Zdziśkiem Adamczykiem i kilku pracownikami byłej firmy budowlanej Aretz zorganizowaliśmy spółdzielnię budowlaną. Nikt jeszcze wtedy się nie budował. Chodziło nam głównie o to, aby zabezpieczyć przed rozgrabieniem pozostawiony sprzęt budowlany i zgromadzone materiały. Spółdzielnia została potem przekształcona w Państwowe Przedsiębiorstwo Budowlane „Kafar”. Czas płynął wtedy wartko, pracy społecznej było po pas. Wszystko trzeba było organizować od nowa. Na akademii z okazji wyzwolenia wybrzeża morskiego wygłosiłem okolicznościowe przemówienie, korzystając przy opracowaniu z materiałów przedwojennej Ligi Morskiej i Kolonialnej.

Powstawały konkurencyjne organizacje. Przy komórce miejskiej PPR – organizowało się koło Związku Walki Młodych. Ku naszemu zdumieniu zapisywali się tam głównie byli członkowie przedwojennej organizacji młodzieży narodowej „Orle”. Podobnie zresztą nasze zdumienie budziło zapisywanie się do PPR obywateli znanych nam z wybitnie pravicowych poglądów. Powoli odradzała się silna przed wojną komórka PPS. Niezorientowani obywatele woleli zapisywać się do PPR. Wydawało im się, że będzie to partia narodowa, nie mająca wiele wspólnego z socjalizmem.

Młodzież z OMTUR bawiła się. Wszyscy chcieli nadrobić stracone lata okupacji. Kojarzyły się młode pary. Nasza grupa: Jurek, Zdzisiek Adamczyk, Józek Barański, Chałasiński z żoną i inni, bawiła się tak samo jak inni. Niektórym działaczom, głównie z PPR, nie podobało się to. Pamiętam pewnego wieczoru zebrał się u państwa Chałasińskich przy Zielonym Rynku. Były tańce, wódka, nie zabrakło sprowadzonych przez Józka muzykantów /p. Otto/, no i oczywiście dziewczyn. Bawiliśmy się w najlepsze, gdy nagle do pokoju wpadła grupa uzbrojonych mężczyzn. Nie wiedzieliśmy początkowo kto i dlaczego zakłóca nam zabawę. Po chwili poznaliśmy, że na czele grupy uzbrojonych stoi przewodniczący Komitetu Obywatelskiego – Geraga. Zarzucono nam, że robimy potajemne zebrania i organizujemy się, aby obalić władzę. Posądzenie było absurdalne. Józek Barański kpił z przewodniczącego, że robi napad z bronią na członków kierowanego przez siebie Komitetu. Skończyło się na przeprosinach, ale zdra nieufności pozostała.

Wiedzieliśmy, że premierem rządu w Warszawie jest Osóbka-Morawski, członek PPS. To utwierdzało nas w przekonaniu, że powstająca z niewoli Polska będzie niepodległa. Nie ma obaw, że – jakby to chcieli ortodoksyjni komuniści – stanie się szesnastą republiką ZSRR.

W lutym zrobiliśmy wypad do Łodzi. Tramwaje jeszcze nie chodziły. Dotarliśmy pieszo do Radogoszca. Znajdowało się tu więzienie przerobione przez Niemców ze starej fabryki włókienniczej. Tu w 1943 roku zginął dziadek Zdziśka Adamczyka. Tuż przed wyzwoleniem Łodzi Niemcy pozamykali od zewnątrz drzwi i okna i podpalili budynek wraz z więźniami. Do wyskakujących przez okna więźniów strzelali z karabinów maszynowych. Nikt nie przeżył masakry. Po wykopaniu ogromnego rowu wrzucono do niego wszystkich zabitych. Teraz, na wiosnę, po stopnieniu śniegu, ukazał się straszliwy widok. Oglądaliśmy to barbarzyńskie cmentarzysko ze wzrastającą nienawiścią do niedawnych panów naszego losu.

W drodze powrotnej wstąpiliśmy w Zgierz do naszego gimnazjum. Dowiedzieliśmy się, że trwają właśnie zapisy uczniów do poszczególnych klas. Przedwojenny dyrektor, pan Michna, został przez Niemców zamordowany w obozie koncentracyjnym. Podobny los spotkał kilku innych profesorów. Ci co przeżyli od nowa organizowali naukę. Po krótkiej naradzie zapisaliśmy się ze Zdziśkiem Adamczykiem do 1 klasy liceum. Na liście do tej klasy było tylko kilku znajomych, większość stanowili koledzy z młodszych klas sprzed wojny, którzy w czasie okupacji uczęszczali na tajne komplety. Kilku naszych kolegów z byłej 3 klasy zapisało się do kolejnej – czwartej. Okazało się potem, że byli to ci, co zawsze są lepiej zorientowani. W czasie poboru do służby wojskowej reklamacje z tytułu nauczania otrzymywali tylko uczniowie klas czwartej i drugiej liceum.

Wkrótce rozpoczęły się zajęcia w szkole. Jak przed wojną dojeżdżaliśmy do Zgierza tramwajem. Spieszyliśmy się, aby odrobić lata stracone przez okres okupacji. Czas szybko uciekał. Zajęć było mnóstwo: 3-4 godziny w szkole, 2-3 godziny w pracy w Przedsiębiorstwie Budowlanym „Kafar”, kilka godzin dziennie w pracach społecznych (posiedzenia Komitetu Obywatelskiego, zebrania OMTUR, zajęcia sportowe). Doba była za krótka. Spało się tylko kilka godzin, a czasem wcale, gdy trafiała się całonocna zabawa. Nie było czasu na spotkania miłosne. Irka zaczęła uczęszczać do 2 klasy gimnazjum w Zgierzu. Powrócił z oflagu jej ojciec, bardzo wyczerpany, ale pełen wigoru i żyjący nadzieją na szybki wyjazd do Gdańska. Do szkół średnich w Zgierzu zaczęło dojeżdżać coraz więcej dziewcząt i chłopców z Ozorkowa i okolic. Wpadła mi wtedy w oko (wydawało się, że zakochałem się od pierwszego wejrzenia) Danka Dulębianka, uczennica 3 klasy gimnazjum. Przyjechała z rodziną do Ozorkowa ze Lwowa w lutym lub w marcu 1945 roku. Matka jej przejęła w rynku aptekę po Mazurkiewiczu. Ojciec był jeszcze na froncie – dowodził pułkiem piechoty w II Armii Wojska Polskiego.

Chodziłem z Danka przez całą wiosnę. Spotykaliśmy się w drodze do Zgierza na codzienne zajęcia i potem wieczorami na spacerach lub u niej w domu. Była to rodzina dość liczna – prócz Danki jeszcze dwie siostry i brat. W czasie moich wizyt mieliśmy sobie wiele do opowiadania z przeżyć wojennych i okupacyjnych. Czytaliśmy z niecierpliwością wiadomości z frontu i czekaliśmy na rychłe zakończenie tej przekłętej wojny.

Wielu kolegów, którzy nie zamierzali uczyć się dalej, wstępowało na ochotnika do wojska. Kilku z nich dostało skierowania do Oficerskiej Szkoły Polityczno-Wychowawczej w Łodzi. Niektórzy wyjechali na Ziemie Odzyskane. Józek Barański i mój brat Jurek wyjechali do Warszawy, aby skontaktować się z KG OMTUR.

Którejś niedzieli wybrałem się z Józkiem Barańskim do Łodzi, gdzie w byłym pałacu Scheiblera odbywało się spotkanie aktywu PPS z woj. łódzkiego z pułkownikiem Matuszewskim, wówczas ministrem informacji. Pamiętam z tego spotkania tylko to, że wielu przedwojennych działaczy PPS narzekało na nierównoprawną współpracę z PPR, zarzucając jej działaczom zajmowanie większości ważnych stanowisk w tworzącej się administracji terenowej i niedopuszczanie aktywistów PPS, a także częste faworyzowanie ludzi z prawicy społecznej.

W domu po powrocie Jurka z Warszawy i Zuzi z budowania okopów czekaliśmy, kiedy wróci z obozu ojciec i Irka z Niemiec. Jurek na prośbę Janki Kropp, córki burmistrza sprzed wojny, postanowił, że przeprowadzimy się do ich willi, którą opuścił niemiecki burmistrz Aretz. Janka bała się, że jeżeli dom będzie niezamieszkały, to zostanie zajęty przez nowe władze, albo wprowadzą się niepożądani lokatorzy. Pan Kropp został zamordowany w obozie koncentracyjnym, a pani Kropp, kierowniczka szkoły nr 2 z najmłodszym synem Jankiem, nie wróciła jeszcze do Ozorkowa z wysiedlenia do GG. Odległość z naszego domu do willi p. Kropp wynosiła przez pole ok. 100 m. Szybko przeprowadziliśmy się. W takich luksusowych warunkach jeszcze nie mieszkaliśmy. Najwięcej radości było z tego, że w domu była łazienka i centralne ogrzewanie, co w tamtych czasach w Ozorkowie należało do wyjątków. Mama nie była zachwycona tym pomysłem. Bała się, że po powrocie p. Kropp będziemy musieli wyprowadzić się. A wtedy gdzie? Opuśczone mieszkanie na Listopadowej zostało natychmiast zajęte przez naszych sąsiadów, mieszkających w drewnianych ruderach. Dla nich wprowadzenie się do dość obszernego, murowanego domu, było wyróżnieniem, które spadło na nich niespodziewanie. Podobne wędrówki i przemieszczenia dokonywały się w całym mieście. Wielu wracało do swoich mieszkań, z których zostali wyrzuceni przez Niemców. Mieszkania po Żydach, zajmowane dotychczas przez Niemców, nie doczekały się powrotu swych właścicieli. Prawie wszyscy Żydzi z Ozorkowa zginęli w getcie łódzkim lub w obozach koncentracyjnych. Niektórzy ocalili, ale wyjechali do Izraela lub zostali

w zachodniej Europie. Do Ozorkowa w początkowym okresie nie wrócił z nich nikt, a mieszkało tu przed wojną ok. 5 tysięcy obywateli polskich wyznania mojżeszowego.

Czas płynął szybko. W nocy z 30 kwietnia na 1 maja wtargnęli do naszego domu niespodziewani goście – kilku milicjantów z karabinami. Rozkazali Jurkowi i mnie, abyśmy się ubrali, bo jesteśmy aresztowani. Za co? Dlaczego? Nie wiedzą, mają taki rozkaz. Na rozkazy nie ma rady. Mama płacze i krzyczy: „Niemcy zamordowali jednego syna, mąż jeszcze nie wrócił z obozu koncentracyjnego, córka z Niemiec, a wy aresztujecie ostatnie dzieci!”. Ubieramy się i dajemy doprowadzić na posterunek do aresztu. Okazuje się, że nie jesteśmy sami. W areszcie spotykamy Józka Barańskiego, Zdziśka Adamczyka, Chałasińskiego i innych. Początkowo byliśmy trochę przestraszeni, ale gdy zorientowaliśmy się, że wśród aresztowanych są tylko członkowie miejscowego koła OMTUR, zaczęliśmy się śmiać. Józek Barański tłumaczył – dla niego aresztowanie przed 1 Maja nie jest nowością. Był parę razy zamykany w tym samym czasie przed wojną. Prawdopodobnie miejscowi komuniści sprawujący władzę w Milicji Obywatelskiej doszli do wniosku, że tak jak przed wojną, przed 1 Maja muszą być aresztowani przeciwnicy polityczni. W roli tych przeciwników widzieli pewnie nas. Zaczęliśmy się zastanawiać co robić, jak się wydostać z tej niezręcznej sytuacji. Najpierw należy zawiadomić o tym władze miejscowego koła PPS. Ale jak? Zaczęliśmy walić pięściami w drzwi i okna, żądaliśmy wypuszczenia. Jeden z milicjantów obiecał, że zawiadomi prezesa koła PPS. Tak się stało. Ale jego interwencja u komendanta posterunku nie odniosła skutku. Podobnie i u przewodniczącego Komitetu Obywatelskiego. Czas upływał, słyszeliśmy grającą orkiestrę i szum pochodu. Pierwsze święto ludzi pracy w wolnej ojczyźnie – w więzieniu. Nie mogliśmy sobie tego wytłumaczyć. Józek rzucił hasło do demolowania aresztu. Zaczął sam, jako murarz z czasów okupacji, rozbierać piec kaflowy. Zwolniono nas dopiero po południu, po interwencji WK PPS z Łodzi. Znów, tak jak na przerwanej swego czasu zabawie, przepraszano nas. Tłumaczono, że zaszła pomyłka. Komendant wojenny miasta dostał podobno donos, nie sprawdził i wydał polecenie aresztowania. Miałem tego dość, byłem oburzony, ale nie ukrywam, że i przestraszony. Trzeci raz może się skończyć bardziej groźnie.

3 maja dostałem wezwanie z WKR do stawienia się natychmiast w Łęczycy, celem odbycia obowiązku zasadniczej służby wojskowej. Znajomi i koledzy radzili, abym starał się o odroczenie. Jako podstawę do tego podawano, że jestem członkiem Komitetu Obywatelskiego i uczę się. Nie skorzystałem z tych rad. Wojna się jeszcze nie skończyła i nie mogę odmawiać w niej udziału. A poza tym byłem jeszcze pod wrażeniem aresztowania i potraktowałem to jako pomyślnie dla mnie zrzucenie opatrności. Nie domyślałem się wtedy, że kryły się za tym jakieś nieczyste manipulacje. Komu mogło zależeć na tym, aby wyeliminować z udziału w życiu politycznym i społecznym Ozorkowa syna znanego tu przed wojną działacza społecznego. Przecież nowej władzy, która miała duże kłopoty, powinno zależeć na pozyskaniu takich jak ja.

Wojsko

W oznaczonym terminie stawiłem się w WKR Łęczycy. Ubrałem się jak na wojnę. Spodnie do jazdy konnej, z ponaszowanymi skórzanymi wkładkami (moja zdobycz po oficerze niemieckim ze sztabu dywizji, który stacjonował w budynku Miejskiego Biura Budowlanego), wysokie buty gumowe i kurtka letnia koloru khaki. Z Łęczycy wraz z innymi rekrutami przewieziono nas do koszar wojskowych w Inowrocławiu. Koszary opuszczone w pośpiechu przez Niemców nie były jeszcze uprzątnięte. Na dziedzińcach wałało się mnóstwo niedopalonych papierów, słomy, śmieci. Od czasu do czasu wśród palących się papierów wybuchała amunicja karabinowa. Zgrupowano w koszarach dość znaczną liczbę poborowych, których pilnowało kilku żołnierzy i podoficerów. Tu mieliśmy czekać na „kupców” – tak nazywano przyjeżdżających z różnych jednostek oficerów, którzy wybierali spośród zgromadzonych po kilku lub kilkudziesięciu i zabierali do swych jednostek. Trzymaliśmy się razem – kilku znajomych i kolegów z Ozorkowa. Czas oczekiwania skracaliśmy grając w piłkę nożną. Byli wśród tych kolegów Leszek Cybart, Stasiek Bartczak, mój kuzyn z Gębie Janek Pierzgalski i inni.

Pewnego dnia wybuchła nieoczekiwana bezładna strzelanina z karabinów i pistoletów automatycznych. Co się stało? Czy ktoś napadł na koszary? Wkrótce dowiedzieliśmy się od pilnujących nas żołnierzy, że to koniec wojny. Niemcy podpisały bezwarunkową kapitulację. Był to 9 maja 1945 roku. Radość była powszechna. Nareszcie koniec, na który czekała cała ludzkość. Może wróćą szybko do domu ojciec z obozu, Irka z Reichu i tysiące, miliony ludzi rozrzuconych po świecie w wyniku tej przekłetej wojny. Co się naprawdę wtedy działo nie wiedzieliśmy. Nie było gazet, radia, ani informacji ustnej. Czekaliśmy dalej na nasze wojskowe przeznaczenie. Może już nie będziemy wojsku potrzebni?

Aż wreszcie przyszła i kolej na nas. Z Warszawy przyjechał major z porucznikiem i plutonem żołnierzy. Wybrano całą naszą grupę. Mieliśmy jechać do nowo organizowanego 65. pułku piechoty, wchodzącego w skład 13. Dywizji Piechoty. Załadowano nas następnego dnia do wagonów towarowych i odjazd do Warszawy.

Warszawa zniszczona zupełnie. Nie poznałem nic z tego, co zapamiętałem z pobytu we wrześniu 1939 roku. Z dworca Warszawa-Zachodnia maszerujemy pieszo przez miasto. Same gruzy, w których tli się jeszcze ogień i unoszą dymy, śmierdzi spalonymi ciałami ludzkimi. Wrażenie przygnębiające. Wchodzimy jednak i w kwartały niezniszczonych domów. Dochodzimy do kompleksu budynków należących przed wojną do Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, w trójkącie ulic Aleje Ujazdowskie, Aleja Szucha, Bagatela są pomieszczenia, w których kwateruje 65. pułk piechoty. Tu odbywa się dalsza sprzedaż przywiezionego „towaru”. Ja zostałem wybrany jako jeden z pierwszych. Rzuciłem się w oczy, bo byłem ubrany inaczej niż wszyscy. Spodnie do konnej jazdy i buty z cholewami (to nic, że gumowe), dodawały szpanu. Wybrał mnie młody podporucznik i po przeprowadzeniu krótkiej rozmowy zdecydował, że ma to, czego szukał. Był to oficer sztabu pułku ds. ewidencji. Potrzebował pisarza. Wydał odpowiednie polecenia, że jestem kupiony i kazał po kąpiel i umundurowaniu zgłosić się do kancelarii pułku, mieszczącej się w budynku położonym wzdłuż Alei Ujazdowskich (obecna siedziba Komendy Głównej Straży Pożarnej). Wraz z innymi, którzy zostali przydzieleni do różnych kompanii i służb pomaszerowaliśmy do łaźni. Tam kąpiel, fryzjer i fasowanie umundurowania. Potem już podobni do siebie jak bracia wracamy do koszar.

Zgodnie z rozkazem melduję się w sztabie pułku. Oficer, który mnie wybrał, zabiera do swej kancelarii, mieszczącej się na 1 piętrze. Pyta mnie na wstępie, gdzie mam te spodnie do konnej jazdy. Nie wiem, odebrano mi je w łaźni, tak jak ubrania wszystkich. Widziałem tylko, że zainteresował się nimi szef kompanii, który prowadził nas do łaźni. Dlaczego pozwoliłem sobie ściąć włosy na goło? Jak to? Ścinałi wszystkim, dlaczego ja miałbym być inny. Okazuje się, że pisarze sztabu pułku mogli włosy zostawić. Nie martwiłem się tym, wiedziałem, że włosy odrosną szybko, nieraz już je tak ścinałem.

Mój szef, podporucznik, jest w wojsku od pół roku. Był studentem Politechniki we Lwowie. Starszy ode mnie zaledwie o 4 lata. Po skończeniu Oficerskiej Szkoły Piechoty w Riazaniu dostał przydział do organizującej się 13 Szkolnej Dywizji Piechoty. Skierowano go do 65 pp na stanowisko oficera do spraw ewidencji.

Zamieszkałem w kancelarii. Praca jak w biurze. Po zapoznaniu się z obowiązkami stwierdziłem, że dam sobie radę. Główne moje zajęcie polegało na zbieraniu codziennie ze wszystkich pododdziałów pułku meldunków o stanie osobowym i sporządzanie z tego meldunku zbiorczego. Przekazywałem ten meldunek do sztabu dywizji. Sztab dywizji mieścił się na rogu ulic Puławskiej i Rakowieckiej. Meldunki z pododdziałów należało porównać z meldunkiem z poprzedniego dnia, a w razie niezgodności natychmiast wyjaśnić i poinformować przełożonych. Okazało się to bardzo ważne ze względu na szerzącą się wtedy dezercję. Każdy taki przypadek musiał być natychmiast wyłapany. Pisało się o tym meldunek nadzwyczajny. Była to wtedy praca prawie katorżnicza. Nie było odpowiednich druków, kalki. Meldunek o dezercji pisało się w 6 egzemplarzach, na papierze o różnych formatach, który trzeba było przycinać do znormalizowanych rozmiarów. Był to przeważnie papier do pakowania. Niekiedy nie starczało doby, aby wypisać po sześć egzemplarzy meldunków, których dziennie bywało po kilka, albo kilkanaście. Byłem oburzony na dezercerów. Jak można się uchylać od podstawowego obowiązku obywatelskiego? Jak można utrzymać własne, niepodległe państwo bez wojska?

Do pomocy w pisaniu meldunków przychodzili pisarze sztabu z innych służb. Towarzystwo bardzo zróżnicowane. W większości byli to podoficerowie skierowani do pułku z innych jednostek. Przeważnie ludzie ze wschodnich terenów Polski, z woj. lwowskiego, pińskiego, wileńskiego – pełni urazów do naszego wschodniego sąsiada. Ja tych urazów nie miałem, więc bardzo często na tym tle dochodziło między nami do gorących dyskusji.

Dowódcą pułku i szefem sztabu byli oficerowie radzieccy, obaj w stopniu pułkowników. Wszystkie pozostałe stanowiska oficerskie obsadzone były przez młodych, nowo promowanych oficerów polskich. Było też kilku oficerów przedwojennych, wśród których wyróżniał się porucznik pełniący obowiązki adiutanta dowódcy pułku. Miał na dowódcę duży wpływ, co nie podobało się szefowi sztabu. Dowódca był zafascynowany swym adiutantem – wysokim, szczupłym, zawsze nienagannie ubranym, pilnie przestrzegającym regulaminów, a szczególnie regulaminu służby wewnętrznej. Musztra, musztra i ślepe wykonywanie rozkazów przełożonych – to był jego konik. Dowódca pułku za jego namową kazał sobie uszyć polski mundur. Paradował w nim z przesadą i miną, jak sam Kościuszko. Próbował mówić po polsku. Wprawiało to w szewską pasję szefa sztabu, który za to obnosił się z dumą w mundurze radzieckim, z pełną galą orderów frontowych i zawsze mówił po rosyjsku. Ceniłem go za to bardziej, niż dowódcę.

Umundurowanie szeregowych żołnierzy było wtedy bardzo skromne. Drelichowe bluzy i spodnie, na nich owijacze, trzewiki na grubej podeszwie z gwoździami. Mój szef postarał się dla mnie o przydział peleryny. Jak wychodziłem na miasto, głównie z meldunkami do sztabu dywizji, okrywałem nią swój lichy mundur.

Wyżywienie było marne. Kasza, kasza i kasza na oleju, czasem śledź prosto z beczki, mięsa prawie nie widzieliśmy. Nie mogłem się do tego wyżywienia przyzwyczaić, zresztą tak jak inni. Miałem bez przerwy rozwolnienia. Kanalizacja i urządzenia wodociągowe były jeszcze nieczynne. Na dziedzińcu były ustawione latryny, zawsze pełne żołnierzy. My „sztabowcy” chodziliśmy się załatwiać do „pałacu”,

bez dachu, podziurawionego bombami lotniczymi i pociskami artyleryjskimi. Chodziliśmy na wyższe piętra i z dziur po bombach urządzaliśmy ubikacje.

W czerwcu odwiedził mnie Józek Barański i Jurek. Byli znów w KG OMTUR. Zaprosili mnie na wieczór poetycki organizowany w lokalu przy ul. Mokotowskiej. Dostałem bez przeszkód przepustkę. Zapamiętałem pompatycznie wygłoszony wiersz o Westerplatte i „Bagnet na broń” Broniewskiego. Jurek przekazał mi wiadomości z domu. Mama, tak jak mówiła, wyprowadziła się od państwa Kropp i otworzyła restaurację w Alejach Piłsudskiego, po żydowskim barze Prusinowskiego. W czerwcu wrócił z obozu ojciec, bardzo wyczerpany i chory. Ostatni rok był w obozie kobiecym Ravensbrück koło Berlina. Pracował tam jako ogrodnik. Irka jeszcze nie wróciła z Reichu. Jurek miał zamiar wyjechać na Ziemię Odzyskane w ramach zaciągu OMTUR.

Pod koniec czerwca pułk nasz został przeniesiony na Bielany do Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego. Było to dla mnie ciekawe przeżycie. Podziwiałem istniejące tu hale sportowe i ich urządzenia. Moj szef dostał mieszkanie niedaleko CIWF, na ul. Grębałowskiej. Do czasu przyjazdu jego rodziny ze Lwowa mieszkaliśmy tam razem z nim. Szef mój okazał się człowiekiem bardzo przedsiębiorczym. Jeździł parę razy w imieniu pułku na Ziemię Odzyskane, skąd przywoził potrzebne dla sztabu urządzenia, takie jak maszyny do pisania, kserografy, meble biurowe, papier kancelaryjny i inne. Przy okazji sprowadzał dla siebie meble, dywany i inne precjoza. W lipcu przyjechała ze Lwowa jego zona z dzieckiem. Był tak rym zaabsorbowany, że wszystkie służbowe czynności musiałem załatwiać za niego. Na szczęście skończyły się dezercje i stanowisko oficera ds. ewidencji nie było tak obciążone jak poprzednio.

Najbardziej pracochłonne było teraz dostarczanie meldunków do sztabu dywizji, który pozostał w Warszawie. Chodziłem na pieszo co kilka dni do sztabu, bo tramwaje na tej trasie jeszcze nie kursowały. Dojście na skróty przez zniszczone zupełnie dawne getto nie należało do rzeczy przyjemnych i wymagało nie lada kondycji fizycznej. Na szczęście poprawiło się wyżywienie i człowiek nie był już głodny.

Sielanka z CIWF-em nie trwała długo, gdzieś w połowie lipca pułk otrzymał rozkaz wyjazdu z Biel na poligon w Raduczu koło Skierniewic. Sztab dywizji ulokował się w Skierniewicach. Pułk zakwaterowano w namiotach w lesie nad rzeką Rawą. Kompanie odbywały intensywne szkolenie bojowe. Adiutant dowódcy pułku organizował coraz to nowe przedsięwzięcia. Jednym z nich były codzienne apele całego pułku i defilady z udziałem orkiestry pułkowej. Dla nas „sztabowców” były to ciekawe widowiska, ale dla żołnierzy z kompanii dodatkowe obciążenie. Wszyscy pisarze sztabu zamieszkali w jednym namiocie. Zorientowano się wreszcie, że niektórzy z nas nie przeszli żadnego szkolenia wojskowego. Zorganizowano je więc i dla nas: musztra, znajomość broni, taktyka i regulaminy. Przystawałem to sobie bez żadnych trudności i z przyjemnością. W wyniku tego zostałem mianowany na stopień starszego szeregowego. Wieczorami w namiocie odbywały się dyskusje polityczne, ale także i zajęcia artystyczne. Śpiewy, gry na różnych instrumentach, deklamacje itp. Tu poznałem i nauczyłem się pięknej pieśni o Polesiu – „Polesia czar”, śpiewanej jak pieśń nabożna przez kolegów pochodzących z Polesia.

Doszły nas wiadomości, że wyszedł rozkaz Naczelnego Dowództwa w sprawie zwalniania z wojska tych, którzy mają rozpoczęte studia wyższe, czy nieskończone średnie, a także nauczycieli. Pierwszy skorzystał z tego mój szef, aby kontynuować rozpoczęte we Lwowie studia politechniczne. Zwolniono też pisarza adiutanta pułku, chłopaka z Poznania, który miał zdolności plastyczne, ale formalnie skończył przed wojną 3 klasy gimnazjum. Rozpocząłem i ja starania o zwolnienie – bez skutku. Zwolniony został pisarz szefa sztabu, chłopak w moim wieku, pochodzący z Polesia. Po wyzwoleniu przez kilka miesięcy był nauczycielem w szkole wiejskiej.

W sierpniu, po złożeniu przysięgi przez cały pułk, można było wreszcie skorzystać z kilkudniowej przepustki, aby odwiedzić rodzinę. Do Ozorkowa spod Skierniewic było niedaleko. Wybrałem się i ja na przepustkę. Pożyczyłem od kolegów przyzwoite buty z cholewami i pojechałem koleją przez Koluszki, Łódź do Ozorkowa. Radość była ogromna, zobaczyłem się wreszcie z ojcem, wróciła też w międzyczasie Irka. Przeżyła tragedię. Zmarł po przyjeździe do Ozorkowa jej dwuletni syn. Nie wytrzymał trudnej drogi z Niemiec do kraju rodzinnego swej matki. Cała rodzina była znów prawie w komplecie. Nie było Jurka, który wyjechał do Wałbrzycha, gdzie pracował jako księgowy w wytwórni win i równocześnie działał aktywnie w miejskim kole OMTUR. Rodzina mieszkała teraz w Alejach Piłsudskiego, przemianowanych później na Aleje Michała Roli-Żymierskiego. Mama prowadziła restaurację. Pomagali jej w tym ojciec, Irka i Zuzia, która równocześnie uczyła się w otworzonym wreszcie w Ozorkowie gimnazjum. Ucieszyła się z mego przyjazdu Danka i zaprosiła na odbywający się akurat ślub jej siostry ze starszym sierżantem, szefem kancelarii jej ojca – pułkownika Dulęby. Bawiłem się na weselu z Danka. Snuliśmy różne plany na przyszłość, które jak się potem okazało nigdy się nie miały spełnić. Wkrótce rodzina Dulębów przeniosła się na Ziemię Odzyskane, nawet nie wiem gdzie, wszelkie kontakty z Danka zerwały się. Nie bez winy byłem i ja, a może moje losy związane ze służbą wojskową.

Po powrocie z przepustki dowiedziałem się, że przenosimy się na miejsce stałego stacjonowania do Białegostoku. W Białymstoku trafiliśmy wreszcie do normalnych, prawdziwych koszar. Miasto zniszczone prawie jak Warszawa, ocalał jedynie pałac Branickich, w którym organizowano pomieszczenia dla władz wojewódzkich. W okolicy grasowały jeszcze bandy białoruskie.

Kiedy zorientowałem się, że nie mam szans na wcześniejsze zwolnienie dla dokończenia nauki, postanowiłem zmienić charakter mojej służby. Napisałem podanie o skierowanie mnie do szkoły oficerskiej, a ponieważ bliskie było mi budownictwo, więc do Oficerskiej Szkoły Saperów.

Od listopada 1945 roku zaczął się nowy okres w moim życiu. Dostałem skierowanie do Szkoły Saperów w Przemyślu. Przed wyjazdem zostałem jeszcze awansowany do stopnia kaprała. W Oficerskiej Szkole Saperów trafiłem do 1-szej kompanii podchorążych. Dowódcą kompanii był por. Turyn, inżynier o specjalności komunikacyjnej. Jako kapral podchorąży miałem na starcie przewagę nad kolegami, którzy rozpoczęli dopiero służbę w wojsku. Zostałem zastępcą dowódcy plutonu. Wyniki w szkoleniu miałem dobre. Towarzystwo w szkole było bardzo zróżnicowane. Większość elewów pochodziła z terenów byłego woj. lwowskiego, z Przemyśla i z woj. tarnowskiego. Było kilku kolegów z poznańskiego, krakowskiego, śląskiego. Wśród oficerów przeważali ludzie ze wschodu i z woj. południowych. Dowódcą szkoły był gen. bryg. Gaber – Rosjanin; a jego zastępcą do spraw politycznych pułkownik Szałacki – Polak z Ukrainy. Młodszy oficerowie, dowódcy plutonów, kompanii, batalionów – Polacy. Wykładowcami z przedmiotów saperskich byli oficerowie radzieccy w stopniu pułkowników, majorów, kapitanów. Atmosfera w szkole była patriotyczna, wszyscy dokładali wiele starań, aby elewi jak najlepiej przyswajali sobie materiał. Istniała szeroko rozwinięta pomoc koleżeńska, współzawodnicstwo między oddziałami. Nasza kompania, kierowana wprawna ręką por. Turynia, osiągała lepsze rezultaty od innych, a to dzięki temu, że wśród nas była znaczna liczba takich jak ja, co mieli skończone kilka klas szkoły średniej i znali podstawowe wiadomości z matematyki, fizyki i chemii. W innych kompaniach trafiali się i tacy, którzy mieli skończone zaledwie kilka klas szkoły podstawowej. Polityczne przygotowanie elewów było prawie żadne. Ja z moim doświadczeniem z OMTUR i lekcjami politycznymi o zasadach socjalizmu (z czasów okupacji), byłem wśród nich orłem. Tym bardziej, że większość elewów pochodzących ze wschodnich województw miało fobie antysowieckie, a szczególnie duża liczba lwowiaków. W krótkim czasie stałem się jednym z filarów aktywu politycznego szkoły. Pozycja moja rosła tym bardziej, że i z przedmiotów zawodowych byłem w czołówce.

Miałem i osiągnięcia w sporcie. Byłem sprawny fizycznie i żadne ćwiczenia czy gry nie sprawiały mi trudności. Grałem w koszykówkę i w piłkę nożną. Zaczęłem trenować boks i wystąpiłem nawet w reprezentacji szkoły w meczu z cywilnym klubem z Przemyśla. Ponieważ w mojej wadze (85 kg) nie było przeciwnika, stoczyłem w ramach meczu walkę pokazową z reprezentantem szkoły wagi ciężkiej. Pokaz skończył się moją przegraną na punkty.

Grono młodszych oficerów, którzy tak jak ja nie mieli skończonej szkoły średniej, zorganizowało zaoczny kurs maturalny. Wykładowcami byli profesorowie ze średnich szkół Przemyśla. Zapisalem się na ten kurs i ja. Lekcje odbywały się w czasie wolnym od zajęć. Metoda szkolenia była inna niż w normalnych szkołach. Najwięcej bawiliśmy się na lekcjach religii. Były to niekończące się dyskusje o moralności, zasadach wiary. Najbardziej zawziętymi dyskutantami byli dwaj oficerowie Żydzi (por. Młynek i ppor. Ryba), znający dość dobrze stary i nowy testament, co często wprowadzało nas – katolików – w zakłopotanie.

W obrębie budynków szkolnych znajdowała się kryta hala sportowa. Służyła ona do celów sportowych, a także do ogólnoszkolnych zbiórek i do musztry. Musztrę dla całej szkoły prowadził dowódca 2 kompanii, przedwojenny podoficer zawodowy.

W okolicach Przemyśla grasowały w tym czasie bandy UPA. Garnizon wojskowy w Przemyślu był dość liczny. Dla żołnierzy z niedawnych jednostek frontowych wojna się jeszcze nie skończyła. Opowiadano o bestialskim mordowaniu żołnierzy polskich i Polaków mieszkających w okolicznych wsiach. Pojedynczo nie wolno było wychodzić poza miasto. Przeżyliśmy pewnej zimowej nocy ostrzał Przemyśla z moździerzy, dokonany przez silny oddział UPA. Zajęcia szkolne z taktyki odbywały się w polu za miastem. Ćwiczyła tylko kompania lub dwie, z wyposażeniem bojowym, ostrą amunicją karabinową czy moździerzową. Zdarzyło się raz, że kilku podchorążych odłączyło się od oddziału, zostali zauważeni przez upowców i złapani. Wrócili na szczęście do szkoły po kilku dniach, bez mundurów, tylko w białiznie.

Nasza kompania przeprowadziła kiedyś zajęcia z taktyki – „marsz ubezpieczony nocą”. Tylko dzięki przytomności dowódcy nie doszło do ostrego starcia z przechodzącym przez las silnym oddziałem UPA. Zajęliśmy pozycje obronne w wykopanych rowach strzeleckich, obserwując sprawnie posuwających się i silnie uzbrojonych Ukraińców. Nieśli broń maszynową, panzerfausty, pistolety automatyczne, moździerze. Ubrani w różne mundury, w tym i czarne mundury hitlerowskiej SS. Szans na zlikwidowanie tak silnego oddziału nie mieliśmy. Słusznie dowódca nie wydał rozkazu do ataku. Przeciwnik nie odkrył naszej obecności i pod osłoną nocy szybko oddalił się. Napięcie było ogromne i dyskusje, czy należało zaatakować i narazić się na duże straty. Czy to co się stało ze względów taktycznych było

słuszne? Doszła do nas potem opinia dowódcy Garnizonu Przemyśl, że zachowaliśmy się prawidłowo. Do zlikwidowania tego oddziału zaangażowane były potem dwa pułki piechoty z pełnym uzbrojeniem.

Na wiosnę obok normalnego toku szkolenia uczestniczyliśmy, tak jak cały garnizon przemyski, w obronie przeprowadzanego Referendum Ludowego. Poszczególne kompanie szkoły otrzymały do nadzoru określone miejscowości. Ja wyjechałem z drugą kompanią do Niska nad Sanem. Zadaniem naszym była ochrona punktów do głosowania. Wyjechaliśmy na dwa tygodnie przed ustalonym terminem Referendum /30.06.1946/. Mieliśmy zapoznać się z terenem oraz przeprowadzić w okolicznych wsiach akcję propagandową, zachęcającą do udziału w głosowaniu. Grupą propagandową dowodził por. Faust. W jej skład wchodził: trzech podchorążych z 2 kompanii, ja i przedstawiciel miejscowej komórki PPR. Grupa nasza w ciągu dwóch tygodni odwiedziła i przeprowadziła spotkania przedwyborcze, a także indywidualne rozmowy z chłopami, w około 12 wsiach. Nie mieliśmy większych trudności z wyjaśnieniem, dlaczego należy głosować i dlaczego „3 x tak”.

Udział w głosowaniu wzięło przeszło 85% uprawnionych. Samo głosowanie nie obyło się bez komplikacji. Grasujące w okolicznych lasach bandy próbowały zakłócić spokój. Nie obyło się bez drobnych walk stoczonych w obronie lokali do głosowania. W jednej z takich potyczek zginął podchorąży z drugiej kompanii. Urządziliśmy mu pogrzeb z honorami wojskowymi. Mnie przypadło w udziale wygłosić przemówienie pożegnalne. Potępiłem w nim tych, którzy napadali na żołnierzy WP spełniających obowiązki obywatelski. Podobnie mówił w swej ostatniej posłudze ksiądz z parafii Nisko.

Po powrocie do Przemyśla rozpoczęły się normalne zajęcia szkoleniowe. Budowaliśmy most pontonowy na Sanie, usprawnialiśmy popsute drogi dojazdowe do Przemyśla, intensywnie szkoliliśmy się w sztuce minerskiej i budowaniu mostów drewnianych. Chodziłem dalej na kurs maturalny. Zakładaliśmy, że na jesieni będziemy zdawać egzamin. Niezależnie od tego przechodziłem intensywne szkolenie polityczne. Wraz z podchorążymi Henrykiem Kalinowskim, Maternowskim z 3-ej kompanii i braćmi Łach z 2-giej, mieliśmy w lipcu zdawać, jako eksterniści, egzamin oficerski w Oficerskiej Szkole Polityczno-Wychowawczej w Łodzi. Traktowaliśmy to jako duże wyróżnienie. Dalsze szkolenie w kompaniach saperskich miało trwać jeszcze dwa lata. Zdobycie stopni oficerskich i równoczesne ukończenie szkoły średniej odpowiadało moim ówczesnym aspiracjom. Tym bardziej, że przełożeni, a szczególnie zastępca dowódcy płk Szałacki, obiecywali możliwość dalszego uzupełniania wykształcenia, łącznie z wyższymi studiami wojskowymi. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że wyjazd do Łodzi na egzamin oficerski będzie początkiem i końcem mojej kariery wojskowej. Ale tymczasem wszystko układało się dobrze. Wyjechaliśmy w połowie lipca do Łodzi i bez trudności zaliczyliśmy wszystkie egzaminy z przedmiotów politycznych i ogólnowojskowych. Przedmioty saperskie zaliczono nam na podstawie wyników w OSS. Uchwałą Prezydium KRN z 20 lipca 1946 roku zostałem mianowany podporucznikiem w korpusie oficerów polityczno-wychowawczych. Uroczysta promocja odbyła się w Łodzi 22 lipca 1946 roku. Promującym był gen. broni Karol Świerczewski, legendarny gen. Walter z wojny hiszpańskiej.

Po uroczystości promowania zaprosiłem kolegów z Przemyśla do Ozorkowa, aby oblać nasze gwiazdki. Bawiliśmy się u rodziców, którym wtedy powodziło się dobrze. Restauracja z wszystkimi alkoholami przynosiła niezłe dochody. Koledzy byli bardzo zadowoleni. Dawno się tak nie bawili, tym bardziej, że wszystkim podobały się moje siostry Irka i Zuzia, wtedy jeszcze panny. Nie bardzo chcieli po dwóch dniach wyjeżdżać, ale służba wzywała. I tak byliśmy już dzień spóźnieni. Postanowiliśmy zwalić to na niesprawność komunikacji, co w tych czasach było normalne. Dowiedziałem się w czasie tego pobytu w Ozorkowie, że Irka wyjechała z rodzicami do Gdańska, Danka na Ziemię Odzyskane, do miejscowości, gdzie stacjonował pułk jej ojca.

Po powrocie do Przemyśla czekały na mnie dalsze honory. Na Święto Odrodzenia otrzymałem Brązowy Krzyż Zasługi i Odznakę Grunwaldzką. Byłem z tych odznaczeń bardzo dumny. Rozkazem Komendanta Szkoły zostałem przydzielony na zastępcę dowódcy kompanii gospodarczej. Dowódcą kompanii był kapitan Koprowski, oficer przedwojenny. Przyjął mnie dość chłodno. Uważał pewnie, że będę kontrolował jego lojalność. Po pewnym czasie i bliższych kontaktach zmienił zdanie i zaczął odnosić się do mnie trochę po ojcowsku. Był starszy chyba o przeszło 20 lat.

Koledzy podchorążowie przyjęli nasze awanse na oficerów niezbyt przychylnie. Szczególnie ci z 3-ej kompanii, którzy byli w szkole dłużej od nas, ale szansę na promocję mieli dopiero w przyszłym roku.

Nasza szkoła otrzymała rozkaz przeniesienia się do Wrocławia. Przygotowania i sama przeprowadzka trwały parę tygodni. Sam przejazd w dwóch składach pociągów towarowych zajął trzy dni. Szczęście, że była ładna, słoneczna pogoda. Nasza kompania miała szczególnie dużo pracy. Zabezpieczaliśmy całą stronę organizacyjną transportu, wyżywienie, bezpieczeństwo itp.

Zajęliśmy we Wrocławiu koszary po Wehrmachcie na Różance. Dotychczas stacjonowała tam jednostka radziecka. Część mieszkalna była niezniszczona. Zburzone były budynki zaplecza gospodarczego, piekarnia, pralnia, basen pływacki. Poszczególne oddziały rozlokowały się w wygodnych, w porównaniu z Przemyślem, pomieszczeniach. Mieszkałem w koszarach, w rejonie zakwaterowania

kompanii gospodarczej. Po pewnym czasie zauważyłem, że jestem traktowany w dowództwie szkoły inaczej, niż dotychczas.

Od kolegów z 1 kompanii dowiedziałem się, że w szkole działa tajna komórka PPR. Byłem oburzony i pytałem naiwnie, dlaczego nie ma takiej samej komórki PPS. Po pewnym czasie zostałem zwolniony ze stanowiska zastępcy dowódcy kompanii gospodarczej i mianowany na stanowisko oficera ds. świetlicowych. Zajmowałem się głównie uruchomieniem, a potem funkcjonowaniem kina, organizowaniem zespołów artystycznych itp. Byłem z tej nowej funkcji niezadowolony. Czuję, że za tymi zmianami coś się kryje. Ale co? Byłem naiwny. Nie wiedziałem, że po powrocie z Łodzi usłudzy koledzy zameldowali komu trzeba o tym, że moi rodzice prowadzą w Ozorkowie restaurację. Ja uważałem to za rzecz naturalną i nienaganną. Ale to była moja ocena. Zastępca dowódcy szkoły płk Szałacki oświadczył na odprawie oficerów polityczno-wychowawczych, na które przestano mnie wzywać, że powinienem pomóc ojcu w warzeniu piwa, a nie służyć w wojsku ludowym. Dowiedziałem się o tym po kilku latach.

Tymczasem życie toczyło się niby normalnie. Zapisalem się znów na kurs maturalny i nie ukrywałem się z poglądami, że po zdaniu matury chcę iść na studia wyższe.

Oficerowie otrzymywali przydziały na mieszkania. Kawalerów lokowano w mieszkaniach osób cywilnych, posiadających wolne pokoje – głównie w dzielnicy willowej, na Karłowicach, niedaleko koszar. Przyszła kolej i na mnie. Dostałem pokój w willi przy ulicy Wincentego Pola, w której mieszkał inżynier Lipock, pracownik Państwowej Fabryki Wagonów, z dwiema córkami (Zofia lat 20 i Marysia lat 17) i służącą. Nie wiedziałem, że ta kwatera wojskowa stanie się wkrótce moim drugim domem rodzinnym. Rodzina Lipocków mieszkała we Wrocławiu od roku. Przyjechali tu z Warszawy. Przed wojną inż. Lipock pracował w zakładach samochodowych PZInż. w Ursusie, a mieszkał w Aninie. W 1942 roku zginęła w wypadku kolejowym jego żona, Helena. On sam zaś w czasie okupacji został wywieziony do obozu. Córki zostały same ze służącą. Teraz od roku cieszyli się szczęśliwym spotkaniem i nowym życiem we Wrocławiu.

Moje zakwaterowanie traktowano początkowo jako naruszenie praw obywatelskich. Demonstrował to szczególnie inż. Lipock i jego starsza córka Zofia. Młodsza córka Maria wręcz przeciwnie – okazywała jawnie, że jest zadowolona z nowego sublokatora. Ja początkowo odnosiłem się obojętnie do mojej nowej sytuacji życiowej. Kazali mi się wyprowadzić z koszar, zająć wyznaczoną mi kwaterę – więc zająłem. Początkowo stosunki z rodziną Lipocków układały się w sposób bardzo dyplomatyczny. Obie strony prowadziły rozmowy. A co to za oficer? Taki młody? Skąd pochodzi, z jakiej rodziny? Czy umie się odpowiednio zachować? Wiadomo, że nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera – to hasło nowej władzy.

Pamiętam jak zostałem pierwszy raz zaproszony na kolację w gronie całej rodziny. Podano specjalnie jajka na miękko. Cała rodzina sprawdzała, czy będę umiał dać sobie z tym radę. Egzamin wypadł pomyślnie i eleganckim zachowaniem przy stole i w innych okolicznościach domowych zaczynałem zdobywać dodatnie punkty. Nie ukrywałem też, że młodsza córka, Maria, wpadła mi w oko. Podobała się mi od pierwszego wejrzenia. Czuję, że wzajemnie. Zaczęliśmy siebie adorować. Wymyślaliśmy na różne sposoby, aby spotykać się tylko we dwoje. Co zresztą nie było łatwe. Siostra Zosia czuwała, aby między nami nic się nie zaczęło. Traktowała nasze zbliżenie jako mezalians, a poza tym była pewno urażona, że oficer zajmuje się smarkulą, a nie nią – poważną panną. Zrodzona w mgnieniu oka miłość nie ma przeszkód. Zaczęliśmy się umawiać na spotkania poza domem. Chodziliśmy na długie spacery nad Odrę, do parków. Całowaliśmy się obłędnie, bez opamiętania. Wiadomo było, czym to się skończy. No i skończyło się. Najpierw wieczornymi wizytami w moim pokoju, bez świadków, no i w końcu roku, na Święta Bożego Narodzenia – ślubem. Zaskoczenie było ogromne. Zarówno ojciec Mary, jak i moi rodzice, patrzyli na nasze zamiary z rezerwą. Ale według nas kłamka zapadła i mimo, że nasza znajomość przed ślubem trwała zaledwie pięć miesięcy, nigdy tej poważnej decyzji nie żalowaliśmy.

Ślub i wesele odbyły się w drugi dzień Świąt. Na tę okazję zamówiłem sobie mundur wyjściowy u krawca ze Lwowa. Uszył mi go według wzorów wojskowych sprzed wojny. Nie było to zgodne z obowiązującymi przepisami, ale jakoś nikt nie zabronił mi w tym chodzić. Na ślub przyjechała cała najbliższa rodzina z Ozorkowa: rodzice, siostry, Jurek. Zgodnie z obowiązującymi wtedy zwyczajami przyjęcie weselne wyprawili rodzice młodej, a rodzice młodego zaopatrywali przyjęcie w napoje.

Po weselu zamieszkaliśmy w dotychczasowej sypialni, na piętrze. Zosia przeniosła się do mojej „kwatery”, a ojciec do drugiego pokoju na piętrze. Kuchnię i duży salon jadalny na dole używaliśmy wspólnie. Życie płynęło wartko – koszary, częste służby oficera dyżurnego szkoły, zajęcia na kursie przedmaturalnym, obowiązki młodego małżonka w domu.

W styczniu 1947 roku szkoła otrzymała zadanie zabezpieczenia przeprowadzanych wyborów do Sejmu Ustawodawczego. Wyjechały w teren wszystkie kompanie szkolne. Ja zostałem w koszarach. Dlaczego? Stan taki trwał do czasu, gdy moje prośby o zwolnienie z wojska, zbiegały się z decyzją Dowództwa Szkoły o zwolnieniu mnie z powodu „niewłaściwego” pochodzenia społecznego i ostentacyjnego obnoszenia się z moimi OMTUR-owsko PPS-owskimi zapatrywaniami.

Zwolnienie z wojska otrzymałem 17 czerwca 1947 roku. I co dalej? Moi rodzice uzgodnili z teściem, że do czasu ukończenia przeze mnie studiów będą nam pomagać. Pomoc ta polegała na tym, że ja zamieszkałem z rodzicami w Ozorkowie i rozpocząłem studia wyższe w Łodzi, a Mary pozostała przy ojcu na jego utrzymaniu. Tak więc skończyły się nasze miodowe miesiące i rozpoczęła się walka o przyszłość naszej nowej rodziny. We wrześniu urodziła się córka Małgorzata. W lipcu wyjechałem do Ozorkowa.

Sen o buławie marszałkowskiej też się skończył.